Świat Kobiecy

N-R 20 15 PAŹDZIERNIKA 1931 R. ROK XI



CENA ZŁ. 2·25

ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA — N-R 20 — ROK XI — WARSZAWA — LWÓW — 15 PAŹDZIERNIKA 1931 ROKU

PRAGMATYCZNY PROJEKT MORALNOŚCI

Rewizjonizm jest potężnym snopem elektrycznego światła, wdzierającym się bez miłosierdzia w zakamarki, które tęchły sobie w spokoju i ciemności, do których nie dochodziło nawet mętne pełganie łojówki. Bywa czasem potężnym strumieniem zdrowej, pachnącej i ożywczej wody, zmywającej bez miłosierdzia zapchane od niepamiętnych czasów brudem, zalepione pajęczyną, butwiejące i cuchnące kąty. Zawsze jest tedy rewizjonizm dla intellektu satysfakcją, a w skutkach praktycznych może być wybawieniem od długotrwałej bolączki. Gesty jego przypominają wówczas poczynania chirurga, który, badając wysilony niewiadomą chorobą organizm, doszuka się nakoniec utajonego wrzodu i wycina go nieubłaganie i bez czułostkowości, nie dbając o krzyki pacjenta.

Ten właśnie wypadek zachodzi w książce Bertranda Russella „Małżeństwo i moralność" * książce, pisanej bez przesądów i uprzedzeń, a wspierającej się wyłącznie na podwalinach rozumu i życzliwości dla ludzi. Są to momenty pierwszorzędnej wagi, odróżniające odrazu pracę Russella, filozofa i matematyka, od elukubracyj moralistów, dla których oba te motywy nie istnieją. Zwłaszcza wzgląd na szczęście ludzkości jest dla moralistów — jeżeli wogóle jest — ostatnim motorem ich wywodów i dążeń. Zauważył to już Lindsey, a po nim Russell — obaj głosiciele doniosłej dla przyszłych pokoleń korektywy moralności w sensie eudajmonistycznym.

W tem miejscu należy zaznaczyć z naciskiem, że inicjatywa wychodzi od mężczyzn. W małym odstępie czasu po rewelacyjnej książce Lindseya „Bunt młodzieży", pojawia się publikacja Russella z wyraźnemi śladami lektury Lindseya. Ten szlachetny gest miał już analogję w przeszłości. Akcja Condorceta i Stuarta Milla — był to też głos w obronie uciśnionych. Albo można tę szlachetność uważać za bardzo rozumnie pojęty interes ogółu. Wyzwolenie kobiety, o które wymienieni bojownicy walczyli, nie mogło zostać bez śladu w kulturalnym postępie ludzkości. Był to etap walki z potęgą ciemnoty — i podjęcie tej walki, stanowi jedną z najchlubniejszych kart w działalności mężczyzn. Zapisać tu też należy ruch podjęty obecnie — praktycznie przez Lindseya, teoretycznie przez Russella. Słusznie zauważyła Krzywicka, pisząc o „Małżeństwie i moralności", że książka ta ma może większe znaczenie jako sankcja, niż jako propaganda. Znaczenie sankcji ma wystąpienie znakomitego uczonego, który o sprawach arcyludzkich, a ustawionych dotąd na fałszywej platformie, okrytych zakurzoną zasłoną pruderji i hipokryzji, nieprzewietrzanych, sofistycznie opartych o przesłanki mistyczno-metafizyczne — próbuje dyskutować rozumnie, trzeźwo i po ludzku. Wykład jego nazwała Krzywicka „Szkołą moralności rozumowej". Wynik jego byłby przedewszystkiem z korzyścią dla kobiet, których piekłoby łagodził, a bodaj czy nie skasował.

Pierwsze emancypantki walczyły o wyzwolenie polityczne i ekonomiczne — o prawo do wiedzy — obecnie przyszła kolej na dziedzinę seksualną. I rzecz ciekawa! Tamte zdobycze były owocem taktycznych zabiegów, pisanin, meetingów — wielorakiej akcji w słowie i piśmie. Tu przewrót dokonywa się odrazu w dziedzinie praktycznej. Kobiety wypowiadają się skąpo — niemal, że milczą.

Można to również uważać za triumf tradycyjnego wychowania. Buzia w ciup. Jedynem przyzwoitem traktowaniem tych spraw było przemilczanie. Sprawy te uważano za nieistniejące w wychowaniu młodzieży, a nawet w rozmowach dorosłych.

Za moich czasów uniwersyteckich trutynowano je przecież. Zauważono je. Próbowano je nawet reformować. Ale ani nie przemyślano ich należycie, ani nie domyślano ich do końca.

Wojna ułatwiła rewizję. Wymierzyła dystans między formalną spuścizną przeszłości a teraźniejszością. Wyznaczyła pragmatyzm w ujęciu tych spraw, i on dopiero w sposób właściwy naświetlił ten zabytek średniowiecznego spirytualizmu. Literalne stosowanie go znajduje wymowną ilustrację w dzisiejszem małpowaniu gotyku. Dusza gotyku była w średniowieczu.

Ale cóż z tą schedą spirytualizmu, przesuwającego punkt ciężkości istnienia w zaświaty, a życie doczesne traktującego jako krótką wędrówkę, przeznaczoną na urządzenie tamtego, ważniejszego życia — cóż z tą schedą ma czynić wiek higjeny i sportu, nie uważający już ciała za źródło pokus szatańskich, nie propagujący abnegacji i askezy? Przesunięcie zainteresowań na doczesność, dążenie do harmonji elementu duchowego z fizycznym, przerwało w konsekwencji ciągłość tradycji.

Nie stało się to oczywiście odrazu. Wieki przecież upływały właściwie na ustawicznej dyskrepancji zasad moralności i życia. Ale — tem gorzej dla faktów! — utrzymywali moraliści z niezachwianą pewnością siebie. Myśl, że w tych zasadach i wymaganiach widocznie coś nie pasuje, nie przeszła im nawet przez głowę. Jeśli zasad nie można było dosięgnąć w postępkach, sztukowało się hipokryzją. Słusznie zauważa Russell, że okrucieństwo ludzkie miało tu wdzięczne pole do popisu.

Russell dał koncepcję moralności odartej z obłudy i z pobudek, które nie płyną już naprawdę z dzisiejszego życia — moralności istotnie pojedyńczej (w przeciwstawieniu do dawnej podwójnej). Podstawą tej koncepcji uczynił rozum — a w wykładzie tej moralności rozmyślnie i świadomie użył terminologji odbarwionej z uczucia i wzniosłości. Dał zato moralność trzeźwą i uczciwą — rewolucyjną o tyle, że na diametralnie innych opartą podstawach. Miał nareszcie odwagę powiedzieć to, co inni czynili, choć niezawsze czynili dobrze. Lecz — rzecz ciekawa! W swej nowatorskiej koncepcji,

* Bertrand Russell: „Małżeństwo i moralność". — Z upoważnienia autora przełożyła Helena Bołoz-Antoniewiczowa. Warszawa 1931.

w swem przekonaniu, że człowiek jest istotą raczej poligamiczną, oświadczył się za małżeństwem, a właściwie przeciw rozwodom. Tylko to małżeństwo uwarunkował tak, tyle mu przydał klauzul, że rozwód jest właściwie zbędny. Trafność doboru w małżeństwie uzależniona jest od uprzedniego doświadczenia obu stron — zaś za małżeństwo uważa się tylko taki związek, w którym są dzieci. Tylko też w takie związki, jako ważne pod względem społecznym, ma mieć społeczeństwo prawo wglądu. Związków bezdzietnych nie uznaje Russell za małżeńskie, akceptując je zresztą zasadniczo. Według jego koncepcji mogą one istnieć obok małżeńskich, mogą w nie nawet wchodzić te same osoby w innych zestawieniach, nie narażając się na zarzut t. zw. zdrady małżeńskiej, na którą w systemie Russella niema miejsca, albowiem niema zdrady tam, gdzie niema ścisłego obowiązku wierności za każdą cenę. Jest też znacznie mniej przekroczeń tam, gdzie jest mniej zakazów — a właśnie etyka Russella oparta na rozumie, jest o wiele skąpsza w zakazy od tradycyjnej, która na każdym kroku upatrywała grzech. Oswobodziwszy życie od tych grzechów i kar, a ukazując mu rozsądne i celowe sposoby postępowania, wyposażył je Russell w spokój i radość i — co dla moralności nie jest chyba obojętne — w uczciwość.

Szczególnym — i słusznym — pietyzmem otacza ta nowa etyka macierzyństwo i to w każdym wypadku, nie segregując go na chlubne i okryte hańbą. Dążeniem jej jest tylko wyeliminowanie ile możności macierzyństwa przypadkowego albo narzuconego, które etyki tradycyjnej wcale nie raziło. Ta etyka, zbliżona o wiele bardziej do absolutnej od etyki tradycyjnej, jeśli jest nawet utylitarna, to w sensie doskonalenia i uszczęśliwiania życia, na czem dawnej etyce bynajmniej nie zależało, albowiem początek jej i koniec tonął w metafizyce. — „Ciała, z którem wciąż mamy do czynienia, nie dostrzegamy wcale" — powiedział Wilde.

Wiele z nieszczęść, które spadły na ludzkość dzięki dotychczasowym fałszywym zasadom moralnym, zwala Russell na patrjarchat. On to obwarował kobietę murem t. zw. cnoty, czynił ją bezmyślną maszyną do rodzenia dzieci i pozbawiał wszelkich praw. Russell przewiduje, że w niedalekiej przyszłości ojciec będzie w rodzinie figurą zupełnie zbędną, skoro państwo — jak się i dziś już po części dzieje — przejmie jego funkcje opiekuna rodziny i wychowawcy dzieci. Według uczonego angielskiego, rola ojca często była wielce problematyczna — nierzadko był w rodzinie źródłem niepokoju i zdenerwowania. Tyrania jego dawała się porządnie we znaki. Komedje Moliera aż nadto dostarczają tego dowodów — a w każdym razie nie są świadectwem nadmiernego pietyzmu młodego pokolenia wobec życiodawcy. Warto tu też przypomnieć słowa Wilde'a z „Męża idealnego": „Ojcowie są nudni. Co innego matki. Matki się uwielbia!" Russell uważa, że tylko matka powinna pobierać od państwa wynagrodzenie za dziecko: ona je wydaje na świat, karmi je, wychowuje, troszczy się o nie. Ojciec wcale nie jest nieodzowny — można go zostawić na uboczu. Przy takiem urządzeniu społeczeństwa nie byłoby porzuconych matek, ani porzuconych dzieci. — Russell przewiduje zniknięcie instytucji ojca jako nieuchronną konsekwencję rozwoju urządzeń społeczno-państwowych — ale przewiduje to bez zbytniej radości, podobnie jak wspólne wychowywanie dzieci w domach państwowych i praktykowanie zasad eugeniki. Przyznaje nawet, że konsekwencje, które na ten ostatni temat rozsnuwa, są dlań wstrętne — mimo, że uznaje korzyści stąd płynące. Bo Russell, ten burzycielski nowator, ten trzeźwy realista uznaje za najwyższą wartość życia miłość, a za najszczytniejszy związek małżeństwo — zaś za najszczęśliwszą okoliczność, gdy miłość i małżeństwo łączą się w jedność. Jednakże rozumnie ocenia i uznaje inne ewentualności i umie je subtelnie rozróżnić. — Tych wszystkich rzeczy nie znajdujemy w etyce tradycyjnej, która tak wielki, ciężki jak świat akcent kładła na wierność, nie troszcząc się o miłość, ani o to, skąd ma człowiek czerpać swą wierność, jak nie z miłości. Etyka tradycyjna przykuwała bez skrupułu człowieka zdrowego do boku obłąkańca, albo skazywała go na dozgonną samotność, dlatego, że tamten chory dożywotnio był zamknięty w zakładzie. Nowela Żeromskiego „Tabu" ukazuje te ohydne sprawy w świetle straszliwej grozy, tem straszliwszej, że bezmyślnej, że nikomu niepotrzebnej. Nikomu — prócz tradycyjnej etyki.

„Nauka, którą chciałbym głosić — konkluduje Russell — nie zaleca rozwiązłego życia. Wymaga przynajmniej tyleż samoopanowania, co moralność konwencjonalna. Lecz samoopanowanie to nie będzie zużyte na ukrócanie swobody innych, jeno na kierowanie własną wolnością. Sądzę, że przy odpowiedniem wychowaniu łatwo wyrobi się to poszanowanie indywidualności drugiego człowieka i jego swobody... Istotą małżeństwa jest intymne a poważne zbliżenie fizyczne, umysłowe i duchowe dwojga ludzi, wraz z całkowitem wzajemnem poszanowaniem indywidualności. Taka miłość między mężczyzną a kobietą jest najcenniejszem przeżyciem, jakie człowiek mieć może."

Wiadomo, że najszlachetniejsze dążenia reformatorskie bywały wyklinane, głównie dlatego, że proponowały zmianę. Trudno się ludziom przyzwyczaić do nowego — trudno uznać, że ktoś myśli prędzej od nich. Wiemy, że nawet w dziedzinie nauki nie bywało inaczej. Ileż to kłopotu miała astronomja, zanim pozwolono na obrót ziemi dookoła słońca! Wszelako nie da się zaprzeczyć, że zmiana warunkuje ruch, a ruch warunkuje pochód naprzód. To też głowom myślącym, zdolnym do inteligentnej rozwagi, projekt Russella daje temat do poważnej, rzeczowej, spokojnej i uczciwej dyskusji.

IDA WIENIEWSKA

O WYCHOWANIU SPOŁECZNEM KOBIET

OD NIEDAWNA dopiero kobiety biorą bezpośredni, czynny i twórczy udział w życiu publicznem, a nakreślić już można wytyczne linje ich działalności, stwierdzić dokąd zmierzają, ku jakiej zwracają się dziedzinie. Dziedzina to społeczna — obejmuje ona rozległy zakres różnorodnych spraw i zagadnień, dotykających nasze życie zbiorowe. Kobiety garną się tłumnie do nowych, ledwo kształtujących się zawodów społecznych, tworzą, organizują i prowadzą wszelkiego rodzaju instytucje społeczne, którym często poświęcają się całkowicie. W państwach gdzie otrzymały prawa polityczne, praca ich zwraca się w tym samym kierunku. Już w Nowej Zelandji, gdzie najwcześniej weszły do izb ustawodawczych, zaznaczył się ich wpływ dobroczynny w prawodawstwie społecznem, w opiece nad matką i dzieckiem, w walce podjętej z nędzą i alkoholizmem. Toż samo w powojennej Europie zauważyć można. W sekretarjacie Ligi Narodów w Genewie kobiety opanowały dział społeczny. Prowadzą niepodzielnie komisję „zagadnień społecznych i humanitarnych", zwaną stąd często „komisją uczuciową". Śpieszy ona z pomocą krajom dotkniętym klęskami elementarnemi, zwraca się ku słabym i pokrzywdzonym, którzy potrzebują opieki i ratunku, bez względu na ich narodowość, wy-

znanie i stopień kultury. Widocznie w naturze kobiecej, we właściwościach jej umysłu i charakteru tkwią zadatki, zwracające ją ku tym a nie innym zadaniom. Świadomość ta przejawia się niejednokrotnie w piśmiennictwie, prasie i opinji publicznej. Słynny pisarz hinduski Tagore wyznacza kobietom pierwszorzędną rolę w tworzeniu lepszych, doskonalszych form zbiorowego życia w najbliższej przyszłości. Szybkie, powojenne odrodzenie Belgji władze tamtejsze przypisują w znacznej mierze społecznej pracy kobiet, które „specjalne na tem polu wykazały uzdolnienia". Przeświadczenie to zaznaczyło się wyraźnie na I. międzynarodowej „Konferencji służby społecznej", która odbyła się w Paryżu, w lecie 1928 roku, pod przewodnictwem dr Alicji Masarykówny. — W mowach i referatach, wypowiadanych przez przedstawicielki i przedstawicieli różnych narodowości, zwracano się nieustannie ku nowemu duchowi, który wnieść ma kobieta do życia publicznego, do polityki i administracji. Od wieków była ona pielęgniarką chorych, opiekunką biednych, opuszczonych i upośledzonych — świadczą o tem przykłady historji, świadczą życiorysy kobiet dobroczynnych, o bogatem życiu wewnętrznem wszystkich czasów i narodów.

Kobieta współczesna te swoje wrodzone wartości rozwinąć chce i pogłębić przez naukę — do właściwych sobie zdolności współczucia i intuicji dorzucić chce wiedzę fachową, niezbędną do zwycięskiego przełamywania przeszkód na drodze do poprawy stosunków społecznych, do zbliżania i bratania jednostek, klas, wyznań, kultur i narodowości. Do pracy tej wzywa ją duch czasów naszych, zbliżająca się era wielkich przeobrażeń jakoby brzask nowego świata. Żyjemy w okresie potężnych zmagań, zdążających do zapewnienia każdemu człowiekowi prawa do rozwoju wrodzonych mu sił i zdolności, do całkowitego wyzwolenia olbrzymich zasobów energji w rodzie ludzkim drzemiącej. Doktryna solidaryzmu społecznego rozpowszechnia się i przeciwstawia zarówno egoizmowi indywidualnemu, jak walce klasowej. Stwierdza ona i na pierwszy plan wysuwa fakt, że ludzie związani są ze sobą nierozerwalnemi węzłami wzajemnej zależności, że rozwój społeczeństwa dokonywać się może tylko przez zespolenie wysiłków dla wspólnych celów. Zapewnić należy interesom i potrzebom całości przewagę nad interesami poszczególnych części, poszczególnych klas i jednostek. Rozwijająca się ideologja służby społecznej przenika do prawodawstwa współczesnego — dawna, prywatna filantropja ustępuje miejsca dzisiejszej opiece społecznej i ubezpieczeniom społecznym, uważanym za funkcje państwa, określone przez ustawy. Powstają Ministerstwa opieki społecznej i podległe im wydziały czy komisje przy władzach samorządowych.

Nie wystarczy to jednak do rozwiązania zawiłych zagadnień chwili bieżącej, uzupełnione być musi przez przemiany dokonywające się w duszach ludzkich, w dążeniu do udoskonalenia natury ludzkiej, skłonnej do wszelkiego rodzaju nadużyć, nieświadomej często i błądzącej. W związku z tem staje zagadnienie doniosłe dla rodziców i wychowawców, dla domu i szkoły — zagadnienie społecznego wychowania kobiet. Co czynić tutaj wypada, jakich środków używać, by z duszy kobiecej wydobyć wszystkie tkwiące w niej możliwości i uczynić z nich twórczą siłę życiową?

Próby w tej dziedzinie podjęła pedagogja współczesna — dyskusja na temat kształcących czy wychowawczych zadań szkoły przechyliła się na korzyść tych ostatnich i wysunęła na plan pierwszy wychowanie społeczne. Szkoła dzisiejsza nie poprzestaje na podawaniu wiedzy, pełni wiele innych zadań, wchodzi w porozumienie z rodziną, oddziaływać usiłuje na rodziców i opiekunów, z którymi styka się bezpośrednio na zebraniach i konferencjach. Organizuje ich w zespoły, które z nią współdziałają, wspierają jej wysiłki, wprowadzają jej ideologję do ognisk rodzinnych, zwalczają egoizm rodzinny na korzyść szerszych wspólnot narodowych, państwowych, ogólnoludzkich. Zakres działalności szkoły stale się rozszerza, wpływ jej rośnie i niewiadomo do jakich dojdzie rozmiarów, jakie formy przybierze w niedalekiej przyszłości?

Wśród wielu środków społecznej kultury, któremi posługuje się szkoła współczesna, na pierwszy plan wysuwają się gminy szkolne, a także stowarzyszenia, prowadzone przez uczniów samodzielnie, lub pod kierunkiem wychowawców. Bezpośrednio, na przykładach i przeżyciach, zapoznaje się w nich młodzież z prawami ludzkiego współdziałania, rozwiązuje nasuwające się zagadnienia i zatargi, pokonywa trudności, ćwiczy się w cnotach spółdzielczych, uczy podporządkowywać sprawy osobiste interesom i potrzebom wspólnot, do których należy. Współczesna literatura pedagogiczna bogata jest w książki, broszury i artykuły sprawom tym poświęcone.

W ostatniem 30-leciu, specjalnie dla zadań społecznych powstały nowe uczelnie, zwane szkołami służby lub pracy społecznej. Inicjatorką ich jest Amerykanka, Mary Richmond. Ona pierwsza zwróciła uwagę na fakt oczywisty, że organizator życia społecznego, podobnie jak nauczyciel, lekarz, inżynier, rolnik czy rzemieślnik, powinien mieć zawodowe przygotowanie, fachową wiedzę i praktykę, że dla celów tych stworzyć trzeba kursy, szkoły i środki pomocnicze. Szkół takich jest obecnie sto kilkanaście na obu półkulach — tworzą je i prowadzą przeważnie kobiety, one wypracowują ich formy, programy, metody, szukają dróg i środków do celu wiodących — są ich kierowniczkami, a zarazem propagatorkami ich ideologji.

Kobiety garną się tłumnie do szkół służby społecznej, by po ich ukończeniu pracować zawodowo w rozlicznych i różniczkujących się ciągle zawodach społecznych, w instytucjach państwowych, samorządowych, w związkach, zespołach, stowarzyszeniach, których ilość szybko wzrasta, obejmując coraz nowe dziedziny ludzkiego życia i działalności. Praca ich znajduje dla siebie właściwe pole w zakładach opieki społecznej, w opiece nad matką, dzieckiem i młodocianym robotnikiem, nad starcem, więźniem, nad chorym, bezdomnym i bezrobotnym — to praca we wszelakiego rodzaju organizacjach, ogniskach, poradniach, szpitalach, spółdzielniach, schronieniach, w ubezpieczeniach społecznych, w bibljotekach, klubach, instytucjach kulturalno-oświatowych i t. p.

Szkoły służby społecznej kształcą w wychowankach swoich zmysł społeczny, zapoznają z naukami społecznemi, ze współczesnym ustrojem i ustawodawstwem, z zadaniami i potrzebami grup społecznych, wśród których wypadnie im pracować, ze środkami zapobiegania chorobom społecznych i t. p. Podawana w nich wiedza podchodzi do człowieka, jako do cząsteczki społeczeństwa, rozpatruje stosunki, zadania i losy jednostek na tle ich środowiska społecznego. Jesteśmy ogniwami łańcucha idącego w nieskończoność, jesteśmy nierozerwalnie związani z ludzkością całą, współdziałający z nią i odpowiedzialni za wszystko co jej dotyczy. Szkoły społeczne wskazują jak podejmować wysiłki moralne i tępić egoizm dla niesienia ulgi cierpiącym. Na wzorach nieśmiertelnych, na przykładach z życia wybitnych ludzi, ukazują piękno tkwiące w bohaterstwie i poświęceniu, organizują siły do walki ze złem społecznem.

W Polsce wyższym typem takiej szkoły jest Studjum pracy społecznej i oświatowej na

(Dok. art. na str. 458) HELENA WITKOWSKA

Mam w sobie nieprzyjaciela niezłomnego, towarzysza nieodstępnego, ptaka nocnego, puhacza o oczach płowych, ogromnych, nieodgadnionych, strasznych, ciągle we mnie wpatrzonych, nielitosnych — mam myśl.

Rosła ze mną wiernie, nieubłaganie. Tylko, gdy byłem dzieckiem, to i ona była mała i taka jakaś przymilna, niby młodziutki ryś, że możesz mu rzucić kłębek nici, a on bawić się będzie z tobą jako biała kotka i czasem ino cię zadraśnie — bawiąc — i wtedy jesteś trochę zły.

Kiedy byłem młodzieńcem, udawała mego przyjaciela, druha serdecznego, powiernika chęci najśmielszych, sokoła gończego, myśliwego, białozora. Szumiała mi skrzydłem mocnem, słońca i wichru spragnionem, zapraszała do łowów, do gwarnych, do zwycięskich.

Do łowów na sfinkse pytające zewsząd chmarami. Że ino chcieć, sokolego ptaka wypuścić a zagrzężnie szponami w potwory milczące, rozedrze ciało kryjące, wnętrzności otworzy, aż bestje w mękach wić się będą, o litość prosić i same wszystko gadać poczną.

I wszystko ci już będzie wiadome.

Te szpony tylko widziałem dzielne, własną krwią moją gorącą żywe i waleczne i one skrzydła nośne, rozrosłe, szumiące. Nie patrzyłem w oczy ptaka myśliwego, jakby ich zgoła nie było, nie patrzyłem w moją własną myśl. Zdawało mi się, że ptakiem myśliwym łowię prawdy proste, wiary nieulęknione, że na tych prawdach i wiarach moich pędzę sobie bellerofontową śmiałością i ufaniem po boiskach świata i nieb aż do mety laurem oplecionej.

Długo nie widziałem oczu druha wiernego, nieustępliwego. A one tymczasem rosły coraz większe i coraz dziwniejsze, okrągłe, płowe... oczy sowy-puhacza, którego schwytałeś w klatkę a on się w ciebie patrzy ze spokojem okrutnym, niewytłumaczonym, upartym, aż tego znieść nie możesz, więźnia wypuszczasz i on odlatuje, nie śpiesząc się zgoła, nie spuściwszy na chwilę wzroku z twojej wylęknionej twarzy... Tylko, że tego ptaka co ci teraz w duszy dojrzał i patrzy tak samo, nie przepłoszysz wolą najlepszą i on zostaje z tobą na mękę dalszą, najdłuższą, chyba, żebyś klatkę piersi żelazem otworzył ostrem i duszę razem z potworem wypuścił na swobodę, na wolność.

Z potworem...

Bo z sokoła-druha powstało nagle monstrum przeklęte, którego cała potworność zwarła się w owych oczach okropnych, turkusowych zwierciadłach przepastnych. Spojrzysz w nie jakąkolwiek wiarą twoją a ona zanurza się w tych głębinach niby statek rozdarty miną napoły i ginie tam, gdzie niema dna nijakiego. Spojrzysz w nie jakąkolwiek prawdą twoją a w żółtej, chłonącej tafli przedrzeźni się jej drwiąco ohydne kłamstwo tej samej co ona nazwy i tego samego w świecie poważania.

Spojrzysz w nie jakiemkolwiek szczęściem twojem a zaraz ci zblednie jak człowiek, co zobaczył upiora, bo w puhaczych oczach przemądrych zobaczyłeś równoczesność tysiącznej nędzy drugich, tak że okrutna świadomość tej równoczesności i zależności wzajemnej, tragicznej wyssie z ciebie ostatnią kroplę radości.

Że sobie wyrzucać poczniesz jakby zbrodnię nieludzką każdy łyk ciepłego mleka, każdy kęs źrałego jabłka czerwonego, każdą pieszczotę ciepła domowego, nawet to, żeś zerwał kwiat pomarańczowej dalji i postawił go sobie na stole w flakonie. Pytają cię oczy płowe o prawo, jakie masz i do tego mleka i jabłka i ciepła. Odpowiesz na to: Bóg — a wtedy coś łomoce i trzeszczy niby walące się krokwie nieba gwiaździstego, — odpowiesz: życie — a wtedy coś ci pęka w krtani i ustami bucha krew.

Oczy ptaka okrutnego troją się, tysiącznieją. Już cię opadają chmurą niby stado ptactwa szalonego... gdzie głowę obrócisz wszędzie skrzydła zwichrzone i dzioby ostre, wysunięte wprzód groźbą, — już musisz biec Orestowym lękiem i nawet cię nie wyzwoli posąg bogini, bo i ona także sowiooka...

Nawet się piękno żadne nie ostanie w źrenicach upiora. Bo co to za piękno, które mi różowi twarz, które mi gra Te Deum w duszy rozgrzanej ofiarą, tuli się do mnie i wyciąga usta — a tobie wtedy policzki blade, w duszy ci bezszelestnie i wilgotno i głupio i bez sensu jak w ciemnym, opuszczonym domu.

I niemasz komu rąk ufnie położyć na ramionach w ufności.

I cóż to za siła tego piękna, jeśli się daje wlec kupczykom na kalwarję Udręki a potem się je kraje w mennicach gieład na sztuki lepkiej od potu ludzkiego monety i sprzedaje według zasad pokupu i podaży za wyrobniczą dzienną pracę? Cóż to za piękno, któreś w duszy począł i męką porodził a potem sameś poszedł na rynek jarmarczny, na wadze położył, targował się i sprzedał sam kupczykom?

Stało się oko puhacze straszliwe — żółtem, nielitosnem słońcem na pustyni, zawieszonem nieruchomo nad rzeźwemi wodami duszy twojej dotychczas ufnej i wierzącej i wypiło ci wszystko aż do kropli ostatniej, każdą falę ochotnego pędu, każdą pianę namiętności bujnej, każdą głąb prawdy pokochanej. Zostało koryto spękane od spiekoty niszczącej, kamieniste, przerastałe dzikiem zielskiem hipotetycznego odczuwania świata.

Więc pragniesz zagasić, wyłupić i potłuc one oczy słońca przeklęte — aby znów popłynęła Woda korytem. Nurty niesyte Boga wszechmocnego. Żeby znów ich brzegi, ziemią użyźnione, porosły trawą zieloną i białą konwalją piękności, żeby wiatr niebieski przywiał znów skądyś nasienie dębu szumiącego i posiał i wychował siłę wielkich pożądań, żebyś się stał widzący ślepotą, słyszący milczem ucha chwytliwego.

O! błogosławione ócz wieczorne zamknięcie po piekących błyskach dnia myślącego! Najpierw ci ciemność miękka i chłodna głowę lekko utuli, ułoży... Wnet poprzez oną ciemność błogosławioną migotać zaczną stokrocie gwiazd jaśniejące na łąkach bożych, dalekich. — A z tych łąk powieje wiatr cichy, tchnienie Pana Przedwiecznego i poczujesz go łaską w płucach wytęsknionych. Przewieje ci mroki ukojne i powstanie zorza święta, przepasana tęczą siedmiobarwną nad nurtami duszy odkupionej. Jasność przedziwna, która nie pali apollinowem słońcem, nie suszy i nie przenika boleśnie naskróś, tak, że przez ciało widzisz żebra i czaszkę sklepioną, śmierci niechybnej łup odwieczny, ale która nad rzeczami, nad zwierzęciem i nad człowiekiem zapala glorję promienistą, koronę najwyższej wartości.

Że już nic nie jest próżne, bez sensu, nil vanum — Wszystko staje się ważnem i wszystko już warte miłości.

Bo w onej jasności przedziwnej zgasły na chwilę, czasem na długo, czasem na zawsze meduzie oczy płowe, ogromne, nieodgadnione, straszne, oczy ptaka nocnego puhacza, nieprzyjaciela niezłomnego, wiernego.

Niechby mi choć zgasły na chwilę jedną, błogosławioną, w której byłbym sam — bez myśli.

KAZIMIERZ BROŃCZYK

DUSZA BUŁGARJI



IWAN ŁAZAROW

MÓJ POBYT TEGOROCZNY w Bułgarji był opromieniony czarodziejskiem światłem trzech wielkich artystów: prozaika Jordana Jowkowa, rzeźbiarza Iwana Łazarowa i malarza mistrza Dymitrowa.

Dzieła tych trzech artystów były jakoby akordem, który brzmiał we mnie i wokoło mnie podczas moich wędrówek po tym surowym, poważnym kraju nieskalanego prymitywu. Bułgarję można nazwać matką Bałkanu, tak jest twarda, patrjarchalna, cudownie, nie po dzisiejszemu zgrzebna.

A duszę tej matki zaklęli w swoich dziełach jej trzej synowie najwięksi: Jordan Jowkow wypowiedział w słowach od dawna wytęsknionych i wyczekiwanych jej legendy, Iwan Łazarow wykuł ją w twardem — z nad Morza Czarnego — kamieniu, a mistrz Dymitrow ukrył ją jak skarb największy w ramach swoich przedziwnych płócien.

BIAŁA JASKÓŁKA

Gdyby mnie ktoś zapytał o największego prozaika bułgarskiego Jordana Jowkowa — doprawdy nie wiem, czybym umiała opowiedzieć dużo, czy mało. Opowiedziałabym może tylko jego nowelę o „białej jaskółce".

A potem — „powiedz sam, osądź sam, ty który pytasz".

Gościniec bułgarski długi, nieskończony, twardy jak dola tego narodu. Jedzie wóz nakryty budką płócienną. Ojciec, matka i córka (dziecko prawie) — patrzą ciągle na niebo. Uważnie, pilnie, szukają czegoś w powietrzu. Wóz jedzie tak powoli — gościńcem surowym, nieubłaganym jak samo życie. Oto idzie chłop drogą. Dokąd jedziecie? Gościńcami po całym kraju. Szukamy białej jaskółki. Białej jaskółki? Uśmiech i śmiech — czyż jest na świecie bowiem biała jaskółka? Tak się zwykle marzenie spotyka z nieubłaganą rzeczywistością i musi być wyśmiane. Jakto niema białej jaskółki? chodzicie po drogach i nie widzieliście jej nigdy? Jest to już teraz głos chorej dziewczynki, która leży pod budką płócienną. Znachor, czy wróżbita, czy czarodziej — powiedział chorej, że wyzdrowieje gdy zobaczy białą jaskółkę. I oto cała rodzina wyruszyła z domu — szukają. Jaskółkę przecież zobaczą — bo mała musi wyzdrowieć. Twarz spotkanego chłopa poważnieje, usta przestają się śmiać, spuszcza oczy i zaczyna dużo mówić. Ach tak! ma się rozumieć, teraz, w tej chwili, doskonale sobie przypomina, że ktoś opowiadał mu, tak jest! ktoś widział takiego ptaka, krewny, czy znajomy, czy sąsiad. Chwilowo zapomniał o tem i dziwi się sam sobie, że mógł o takiej rzeczy zapomnieć. Jedźcie gościńcem, prosto, prosto przed siebie, zapewne zobaczycie dziwnego ptaka. Bo czyż można odbierać komuś wiarę w jego los, w jego zdrowie, szczęście i spełnienie? Tylko jedźcie i wierzcie. Chora dziewczynka uśmiecha się. A więc wyzdrowieje. A więc naprawdę zobaczyć można dziwnego ptaka! Z Bogiem! I wy z Bogiem! Jadą. Jadą gościńcami twardemi jak zła dola, długiemi jak życie — uśmiechają się, patrzą w niebo. Szukają białej jaskółki. Wierzą.

Czyż nie zamknął Jordan Jowkow całego losu Bułgarji w tej krótkiej, przedziwnej, jakże subtelnej, jakże czystej noweli? Ale spróbujcie z nim pomówić o tem przy stoliku w kawiarni! Pewnie popatrzy zdziwiony, że wasze oczy są wilgotne. I może odwróci się nawet. Pozostanie wam to co sami myślicie.

Czyż wszyscy, wszyscy od wieków, nie jesteśmy rodziną jadącą w zakrytym wozie po długich, twardych gościńcach świata? Czyż nie jesteśmy chorą dziewczynką, wypatrującą czarodziejskiego panaceum białej jaskółki? I czy tę wiarę można nam odebrać? Jordan Jowkow, syn surowej ziemi bułgarskiej, mówi, że nie. I w tem można zamknąć całą jego twórczość. Tylko jedźcie, tylko jedźcie, wypatrujcie w niebo. Bo jeżeli nawet niema białej jaskółki — to wasza wiara ją stworzy. To jest cały Jowkow. Dusza — czyż tylko Bułgarji?



Iwan Łazarow *„Trzej śpiący popi z Mont Athos"*

LOS W KAMIENIU

Często zachodziłam do tej wielkiej pracowni na bulwarze Ferdynanda w Sofji. Witali mnie: niski, czarny pan o białych zębach, to właśnie Iwan Łazarow, wysoka, bardzo energiczna i pogodna pani, lekarz chorób dziecinnych, to właśnie żona rzeźbiarza i urocza, zamyślona dziewczynka, „nasza najlepsza rzeźba w tej pracowni".

Iwan Łazarow, profesor akademji sofijskiej, jest największym rzeźbiarzem bułgarskim. I on podobnie jak Jordan Jowkow — zaklął, wyczarował duszę Bułgarji, tylko w innym materjale aniżeli słowa.

Można powiedzieć, że wykuł on dla tego kraju los w kamieniu.

Rzeźby Łazarowa nie są ani gładkie, ani łatwe. Oczy nasze ciągle zawadzają o surowe kanty. I patrzymy tak, jakbyśmy się nieustannie o coś potykali. Tutaj nie jest łatwe zwycięstwo. Tutaj trzeba upaść wiele razy, aby coś zdobyć. Choćby tyle miejsca dla siebie, by móc usiąść lub stanąć. O szerokim ruchu nie mówi się tutaj, bo ten los jest skromny, jest cały jakby wpisany w upadki i powstawania.



Iwan Łazarow *Pomnik na grobie poety Jaworowa*

Dlatego postacie Łazarowa już nigdy nie wyrosną do góry. Są jakąś tajemniczą, mistyczną więzią sprzęgnięte z ziemią, z przekleństwem jej cierni, z grozą jej kamienia, ale także ze



Mistrz Dymitrow „Bułgarka"

szczęściem i z pychą kiełkującego z i a r n a. Zdaje się nam, że twórca rozmyślnie zniża swoje postacie, nie daje im wyróść, przemocą wpiera je w ziemię. Jego ludzie są chropowaci, niscy, zwięźli, boją się oderwać od gruntu.

W pierwszej chwili ogarnia nas wprost groza: czy ci ludzie już nigdy nie spojrzą do nieba? Przecież wybawienie jest zawsze w górze. Ale Łazarow mówi, że nie. Że w ziemi. Jest w tem surowy dzień powszedni, ale także łaskawość niedzieli. Ziemia wasze źródło i wasz cel.

Jakże daleko od tego — pycha i monumentalność Mesztrowicza. Tamci strzelają w niebo, ci przysiedli na ziemi. Czyż przysiedli? Zdaje się nam, że każdej chwili wstaną, ale nie po to, aby wyróść, tylko aby paść na ziemię jeszcze niżej, rozkrzyżować na niej ramiona i całować ją. W tobie mój cel, w tobie mój los — czarna ziemio bałkańska.

I już tych ludzi Łazarowa rozumiemy — bo czyż wszyscy, wszyscy nie jesteśmy do nich podobni? Cóż nas na końcu przytuli? Gwiazda? Słońce? Wiatr? Niebo? Nie. Ziemia. To jest nasz los, w y k u t y w k a m i e n i u ż y c i a i w k a m i e n i u ś m i e r c i.



Mistrz Dymitrow „Rodzina bułgarska" (Muzeum narodowe w Sofji)

Kobieta, która tak nisko przypadła na grobie Jaworowa — dokąd patrzy? W ziemię. Pewnie czują jakieś z nią pokrewieństwo proste kobiety — zwiedzające grób tragicznego, ślepego piewcy, bo myślą, że jest żywa. Całują jej ręce. Nie jest to legenda. Dusza Bułgarji? Ziemia. Jej cierń. I jej ziarno. I tu się zamyka bez reszty Iwan Łazarow.

KWIAT STRZEŻONY W DŁONIACH

Opowiedzą ci tylko o tym człowieku, że ma wspaniałą, szlachetną twarz proroka i żyje jak asceta. Gdzie? W jakiejś wsi. Taka jest zawsze odpowiedź. Ale w jakiej — tego nigdy naprawdę nie wiadomo. Koło Sofji. Ale to „koło Sofji" — jest bardzo szerokie. I nie poznasz go. I nie zdobędziesz nawet fotografji do artykułu. Nie kupisz jego obrazu. Bo mistrz Dymitrow jest prawie mitem w Bułgarji. Żadne ministerstwo, żaden klub, żaden związek — nie znają jego adresu. Żyje ten mit owocami, mlekiem i czarnym chlebem. Nie wiem, czy ma kiedy lewa przy sobie, bo wszystko oddaje swojej biednej rodzinie. A jednak w Ameryce płaci się grube dolary za te „bułgarskie egzotyki".

Musimy się uśmiechnąć: czy to możliwe dzisiaj, gdy artysta sam sobie pisze recenzje i sam układa reklamy? A jednak tak — to nie jest legenda, jak legendą nie jest to, że lud całuje ręce kamiennej kobiety Łazarowa na grobie tragicznego piewcy.

Dlaczego ucieka od ludzi mistrz Dymitrow, największy dzisiaj malarz bułgarski? Czy w nich nie wierzy? czy myśli, że są źli, mali, fałszywi? Czy zawiódł się i rozczarował i zwątpił? Nigdy.

Mistrz Dymitrow jest entuzjastą człowieka. Wierzy w jego siły, w jego nieskalaność (choćby przeszedł przez głębię grzechu), w jego serce. Przestudjujmy obrazy największych malarzy współczesnych w całej Europie. U żadnego z nich nie znajdziemy takich c z y s t y c h l u d z i, jak u tego malarza bułgarskiego. Czyż może istnieje granica, na której spotykają się dziecko, prorok i asceta? Możnaby w to chwilami uwierzyć...

Mistrz Dymitrow oddala się od ludzi, bo może boi się, by nie zdeptali jego wiary w ich czystość. Cóż to jest ta czystość Dymitrowa? Brak fałszu, nienawiści, egoizmu. Jakże często umieszcza Dymitrow swoich ludzi na tle z kwiatów. Zdaje się nam wtedy, że wypływają z woni, kolorów, wiatru, liści i płatków. Jakże często ręce ich ochraniają dłońmi kwiat. Przyciskają do serca, jakby obawiając się by tego kwiatu nie odwiała jakaś zła siła. Ochraniają symbol czegoś niematerjalnego. Źle powiedziałam, że się obawiają. Oni wierzą, że swoją czystość ochronią.

Oto „R o d z i n a b u ł g a r s k a", obraz z muzeum w Sofji. Idą przed siebie. Znów trójka jak na gościńcu u Jordana Jowkowa. Tamci wypatrują białej jaskółki i wierzą że ją zobaczą, ci ochraniają dłońmi kwiaty, symbol tajemnicy, która tkwi poza materją i także wierzą, że ten swój skarb ochronią. Miesza się tu w ich twarzach surowość z łagodnością, powaga z troską. Czujemy się najbliższymi krewnymi tych z obrazu. Czyż nie jesteśmy taką rodziną, którąby chciała ochronić swoje kwiaty? Mimo wszystko. Mimo to, że się sto razy przejdzie przez kałużę.

Najdziwniejszą wiarę wyczarowuje w swoich obrazach ten bułgarski malarz-asceta. Teraz po wojnie, kiedy człowiek z a b i j a ł, k r a d ł, p a l i ł, g w a ł c i ł — on nakazuje wierzyć w serce c z ł o w i e k a. W c z y s t o ś ć. Odchodzimy pokrzepieni od jego obrazów.



Mistrz Dymitrow „Brat i siostra"

A ten kolor? A ta jego różowo-zielona plama? Czy tak maluje asceta na ziemi czarnej, bronzowej, która często pęka i trzęsie się? A jednak przejdźmy w niedzielę przez wieś bułgarską. Patrzmy! Czy te kobiety nie są takie same jak tamte z obrazów, czy te kwiaty rosnące u stóp pochmurnych Bałkanów nie mają tych samych kolorów?

KAZIMIERA ALBERTI

(Dok. art. na str. 462)

KOMEDJA MAUGHAM'A

„KIEDY WRÓCISZ?" W ROZMAITOŚCIACH

JEST W TEJ KOMEDJI, heidelberskiego kiedyś doktoranta medycyny, dziś dobrej klasy angielskiego powieściopisarza i dramaturga — postać jedna, która wyraźnie uprzedziła życie. Historja właściwie banalna. Oskar Wilde wysnuwał z tego paradoksalną tezę, twierdząc, że świat widzimy przez sztukę, dzięki sztuce, że — sztuka nam świat objawia. Tak czy owak przypadek Maugham'owski jest znamienny i wart zanotowania. Tem więcej, że stoi — w ogniu aktualności.

Maugham nie mówi coprawda, czy prof. Ponsford, uczony matematyk, pisze, poza dziełami ze swojej specjalności, rzeczy w rodzaju: „Małżeństwo i moralność", ale niewątpliwie jest on literackim prototypem autora tej głośnej dziś książki, logika i filozofa, jednego z najfilozoficzniejszych umysłów współczesności — Bertranda Russella. Obaj — i ten komedjowy profesor i tamten rzeczywisty — obalają komunał o nieżyciowości uczonych, obaj na wiedzy opierają głęboką, praktyczną mądrość życia. Obaj też są zwolennikami i głosicielami — miłości racjonalnej.

W komedji jest to źródłem świetnego komizmu, gdy wśród grona t. zw. ludzi praktycznych, „życiowych", wśród ludzi, którzy stanowczą opinją: „nie znasz się na tem" odsyłają uczonego matematyka do równań 4-go stopnia — właśnie on najrealniej pojmuje sytuację swej córki, zdradzonej przez męża i najrealniej tę sytuację rozwiązuje. W życiu rzeczywistem jest zaświadczeniem żywości spraw płci i staje się źródłem zasadniczej ich przemiany, gdy je podejmuje umysł tej miary i tego autorytetu, co Russell. Ta inwazja nauki w życie praktyczne i w dziedziny, tak doszczętnie zakłamane i tak beznadziejnie rozpoetyzowane, jak miłość — jest czemś dla naszych czasów charakterystycznem i budzącem uzasadnione nadzieje. Na oznaczenie tych dążności aż się naprasza termin: *racjonalizacja miłości — tayloryzm miłosny.* Te określenia są nawet w duchu, stylu i modzie czasu, bo sięgają w sferę pracy, wytwórczości materjalnej i ekonomji. Inż. Taylor pracę, profesorowie Ponsford i Russell miłość — pragną zorganizować w sposób naukowy, w sposób racjonalny. Zasada jest ta sama: nie trwonić bezcennej energji i ten sam postulat: przez stworzenie warunków najbardziej dodatnich spotęgować do maksimum wytwarzanie wartości przez pracę i wytwarzanie szczęścia przez współżycie miłosne ludzi. Wygląda to wszystko trochę nieprawdopodobnie i paradoksalnie. Trudno z dotychczasowych, utartych torów myślenia i ujmowania zagadnień przerzucić się w tor, tak zasadniczo przeciwny. A jednak obserwacja rzeczywistości każe nam wierzyć, nie: każe nam *wiedzieć,* że właśnie na tej drodze odpadnie ze spraw miłości to, co w nich było brzydotą i kłamstwem, przybranem w pozór poezji lub pozór moralnego nakazu, i to, co w nich było bezcelową udręką, krzywdą i przemocą człowieka nad człowiekiem.



WANDA SIEMASZKOWA

Co książka Russella w system pełny ujmuje, to Maugham'owska komedja demonstruje na jednym drobnym odcinku i to nawet nie w sposób jaskrawy, ni rewolucyjny. Urok tego utworu stanowi jakby nieświadomość impulsów, jakie ze siebie wysyła. Ale to i brak jego, że przy problematyce dość nowej i odważnej (niemal tak, jak w „Niezłomnej żonie") tak wielkie w nim ustępstwo na rzecz tego, aby wszystko było po francusku pikantne, zabawne i lekkie. Poza samem zagadnieniem wszystko w tej komedji: i w jej fakturze, w komizmie sytuacyjnym, komizmie epizodów i typów charakterystycznych i w jej ujmowaniu życia — jest bardzo staroświeckie. Przypuścić należy, że „Kiedy wrócisz?" pochodzi z wczesnego okresu twórczości Maugham'a, w którym przeważały u niego wpływy francuskie, przedewszystkiem wpływy francuskiego naturalizmu. Zczasem dopiero, z dalekich podróży przywiózł Maugham zainteresowanie dla zagadnień rasowych i egzotycznych, pogłębiwszy zresztą skłonność do tematów obyczajowych i zaostrzywszy zacięcie satyryczne.

Przyroda nie znosi próżni, miłość — pełnego nasycenia: tak możnaby ująć zagadnienie komedji. Sztuka miłości polega na tem, aby nie dawać za wiele i za wiele nie brać. Miłość powinna być ciągiem przerywanym, jakby jej uczestnicy rozstawali się z sobą co tydzień — na tydzień. Nie może w niej braknąć uncji — tęsknoty i niezaspokojenia. Indywidualne gospodarstwo miłosne ma zwyczaje trochę rynkowe: co jest w nadmiarze — spada w cenie i nie ma nabywców. Tak się zjawia w miłosnem współżyciu konieczność — polityki ekonomicznej. Ale nie mnóżmy paradoksów. Utwór Maugham'a w najdalszej mierze nie spokrewnia się z paradoksalną dialektyką Shaw'a. Rezoner tej sztuki, ów Russell w komedjowem wcieleniu, raczej praktycznie wykazuje swojej córce, 5-letniej mężatce, dr-owej O'Farnell, że ona sama jest przyczyną — zdrady swego męża. Kocha go — nieekonomicznie. W następstwię obniża wartość swego uczucia. Środek zaradczy: kochać ekonomicznie. W szczegółach dowcipna recepta wygląda tak: 1) nie siadaj mężowi na kolanach, gdy czyta gazetę, 2) nie męcz go niepewnością: czy kochasz mnie jeszcze, 3) nie pytaj, gdy wychodzi: kiedy wrócisz? Zastosowanie tej recepty wymaga jednej ciężkiej ofiary: wyrzeczenia się scen zazdrości, gdy mąż noce przepędza u fikcyjnej pacjentki p. O'Meck. Możliwość skutku opiera się na nadziei, że kochanka męża również nie zna zasad miłosnej taktyki gospodarczej i — rychło spadnie w cenie. Obliczenie rzeczywiście nie zawodzi.

Gdy się o tem mówi w sposób mimowolnie żartobliwy, może zaciera się walor zagadnienia, którem Russell zajmuje się również, choć oczywiście inaczej. Przyczyna zdrady leży często po stronie zdradzanej, nie — zdradzającej. Gdy braknie świadomości tego, gdy nie stanie rozumnego i rozumującego trafnie i głęboko ojca matematyka, którego zdumiona córka musi kilka razy zapytać: „Papciu, skąd ty to wszystko wiesz?" — wtedy odruchem zazdrości pogłębia się i pieczętuje klęskę. W trafnem postawieniu zagadnienia ekonomji miłosnej w małżeństwie i w tem ciekawem prześwietleniu problematu zdrady zawierają się dwa momenty silnie interesujące w komedji Maugham'a.

Z drugim momentem łączy się szczegół właściwie niezauważony, a odsłaniający jeszcze raz głęboko satyryczne i ironiczne spojrzenie komedjopisarza na obyczajowość swego społeczeństwa. Dr O'Farnell jest do głębi poruszony faktem, że żona, wiedząc o jego zdradzie, nie zażądała rozwodu, że tak ona, jak jej rodzice lekceważąco i pobłażliwie traktują fakt jego ujawnionego wiarołomstwa. Dla niego właśnie ujawnienie stanowi kwalifikację ujemną postępowania, stąd reakcja otoczenia niepokoi go, oburza i — co stanowi nieporównany efekt komiczny — doprowadza do przekonania, że w tem gronie: on jeden jest „moralny". Ta moralność już oddawna wymaga — cudzysłowu.

*

Mistrzowską technicznie sztukę Maugham'a zaprezentował we Lwowie — zespół *Wandy Siemaszkowej.* Świetna artystka tragiczna wystąpiła w drobnym epizodzie, dając typ pacjentki-erotomanki o nieporównanej prawdzie i sile komizmu. Najbliższe po niej miejsce należy się *Łozińskiej,* która promieniowała urokiem kobiecym, subtelnie cieniowała rysy odtwarzanej postaci, zachwycała cudowną swobodą. *Czajkowska* ma fatalnie ustawiony głos, odrobinę manjery w modulacji i gestyce. *Niewiarowicz* był jedną z najgorszych kreacyj wieczoru: pomijając niezbyt szczęśliwe warunki zewnętrzne, zwłaszcza w scenach podniecenia uezuciowego zdradzał zupełną nieudolność. Dobrą rutynę wykazała *Pillerowa. Tarnawski* z umiarem i naturalnością odtworzył rolę prof. Ponsforda. *Kowalski* jaskrawo farsował.

Przedstawienie, mimo wszystko, miało posmak trochę prowincjonalny, zwłaszcza z powodu dorywczej oprawy dekoracyjnej. Należało raczej do tych, które powodzenie zawdzięczają w nieporównanie większym stopniu twórcy, niż odtwórcy. TYM. TERLECKI

LISTY Z WARSZAWY

O CZEM SIĘ NIE MÓWI. TAJEMNICZY OGONEK. NA RATUNEK UZĘBIENIU. DYGRESJA NA SERJO. ZNÓW OGONEK. TEMPO, CZAS I MONTAŻ. PRZYCHÓWEK SZYFMANA

W KILKA DNI po wydrukowaniu poprzedniego felietonu złożyłem wizytę pewnej znajomej nauczycielce, osobie mądrej, zacnej i cieszącej się dużem uznaniem w kołach pedagogicznych. Przywitała mnie wzrokiem, jakim uczciwy giełdziarz spogląda obecnie na funty szterlingi. Na biurku leżał numer „Świata Kobiecego". Tknęło mnie niejasne przeczucie i zapytałem, co ona, osoba fachowa, sądzi o mym artykule zatrącającym przecież o tematy pedagogiczne.

— Drogi, kochany panie Stefanie — zaczęła z lekkiem ociąganiem się — w zasadzie — tu zniżyła głos i obejrzała się wkoło — w zasadzie ma pan kompletną słuszność, ale — słowa znów zabrzmiały dobitniej — ale przecież nie można takich rzeczy pisać w piśmie przeznaczonem dla szerszego ogółu.

Zrobiło mi się głupio i musiałem niechybnie zaczerwienić się po czubki uszu, jak młode dziewczę z anno Domini 1880, kiedy z nieświadomości użyło publicznie słowa: prostytucja.

Postanowiłem solennie unikać zagadnień dotyczących szkoły i wychowania. Lecz podobno zbrodniarz zawsze wraca na miejsce zbrodni. Więc i ja znów wpadam na temat szkoły. A dzieje się to dzięki temu, że wpadłem z samego rana na kilometrowy ogonek — sam kwiat młodzieży, — który zatarasował pół Chałubińskiego. Kilka setek tłoczyło się na chodniku, a wciąż przybywały nowe zastępy. Piechotą, tramwajami, autami.

Przeważał element kobiecy i to tak znacznie, że w pierwszej chwili myślałem, że otwarto już poradnię zapobiegania ciąży pod godłem „Świadome Macierzyństwo". Wprawdzie gazety donosiły, że otwarcie ma nastąpić dopiero w pierwszych dniach października i na Lesznie, nie na Chałubińskiego; ostatecznie jednak mogli przyśpieszyć termin i zmienić lokal. Pewne wątpliwości wzbudził we mnie minimalny zresztą odsetek mężczyzn w tym tłumie. Też chcą się poradzić? A może to prekursorzy tej epoki, o której pisał przed miesiącem w „Świecie Kobiecym" Czyściecki? („Mężczyzna w roku 2031".)

Z wytwornym ukłonem spytałem jedną z uczestniczek ogonka o cel tego zebrania. Spiorunowała mnie spojrzeniem polskiej dzieweczki, upatrującej w każdym nieznajomym rabusia swej cnoty z premedytacją (t. zn. rabusia z premedytacją), i skrzywiwszy wzgardliwie ukarminowane usteczka (miało to znaczyć: „Ja nie jestem z tych..."), udzieliła wkońcu wyjaśnień, z których wynikało, że cały ten tłum to przyszli adepci dentystyki. Do egzaminu zgłosiło się zgórą pięćset osób. Ponieważ sala egzaminacyjna nie jest obliczona na tyle osób, więc wielu z nich czeka od szóstej rano u zamkniętych drzwi Państwowego Instytutu Dentystycznego, by jako pierwsi zająć lepsze miejsce. Nauczyło ich tego doświadczenie lat poprzednich, kiedy ponad wszelką wątpliwość zostało stwierdzone, że egzamin pisemny kandydatów, którzy z braku miejsca powiesili się na wieszadłach, wypadł nieszczególnie.

Wciąż mię jednak dziwiła niepomierna ilość młodzieży, stawiającej sobie za cel życia ratowanie uzębienia bliźnich.

Ze zrobionego naprędce obliczenia (może się pomyliłem rachując w pamięci) wynikało, że gotowiśmy dożyć czasów, gdy na jeden ząb obywatela Rzeczypospolitej wypadnie dwóch dentystów. Uprzytomniłem też sobie, że w tym samym mniej więcej okresie wypadnie z pięciu lekarzy i dziesięciu farmaceutów na jednego pacjenta.

Naprawdę, żyć a nie umierać!

Moja informatorka, która tymczasem (może z pewnem rozczarowaniem) przestała się obawiać ataku na jej cnotę, przynajmniej z premedytacją, rozwiała piękne fantazje. Z pięciuset kandydatów zaledwie setka dostąpi rozkoszy, jaką sprawia bzyk wiertarki, zapuszczającej żądło w ząb pacjenta. Czterystu odejdzie z kwitkiem.

Zarządzenie usprawiedliwione nietylko szczupłością pracowni, lecz i pojemnością rynku pracy.

Te względy nie obchodzą jednak nic producentki nieszczęsnych kandydatów szkoły średniej ogólnokształcącej. Jeśli chodzi o ilość wychowanków tej instytucji, stoimy bodaj na pierwszem miejscu w Europie. Procentowo posiadamy ich 2,5 razy więcej niż Francja, półtora razy tyle co Niemcy, koło 1,8 razy więcej od Anglji. Nadprodukcja maturzystów, których osiem lat nauki przygotowało jedynie (jeśli przygotowało) do dalszej nauki w szkołach uniwersyteckich, inflacja dyplomów maturalnych, których kurs na giełdzie pracy spada na łeb i szyję — to nie są kwestje interesujące szkołę średnią. Ona płodzi, płodzi, płodzi i zastanawia się, czy więcej korzyści osiąga dziecko, jeśli narysuje śliwkę, czy jeśli ją ulepi z plasteliny. Na mój chłopski rozum, najlepiejby było, gdyby ją zjadło; ale to jest całkiem gminny pomysł.

Narazie czekajmy aż całe społeczeństwo ze świadectwami dojrzałości pod pachą stanie w ogonku do uniwersytetów, instytutów i akademij.

Nic dziwnego, że gdy pod wieczór wyszedłem znów na miasto i na Chmielnej zobaczyłem nowy ogonek, byłem przekonany, że znajduję się w pobliżu jakiejś uczelni, dostępnej tylko dla absolwentów szkoły średniej.

I tym razem pomyliłem się. Był to ogonek do kasy kina Atlantic. O ile w tamtym przed Instytutem dentystycznym stali ludzie szukający zawodu, coby im dał pieniądze, to tutaj płacili pieniądze, żeby ich zato spotkał zawód.

Wyświetlano „Dziesięciu z Pawiaka". Dziesięciu z Pawiaka! Cudowny temat. Dziwię się, że dotąd nie wykorzystano go należycie w powieści, coby przełożona na kilka języków opowiedziała zagranicy, że nie byliśmy tylko trzódką potulnych baranków, które wilk-zaborca bezkarnie tratował na placu Teatralnym, tłukł nahajkami i wywoził na Sybir. Mieliśmy organizację, co nie wahała się leźć wilkowi w samą paszczę; mieliśmy garść entuzjastów-śmiałków, na których wspomnienie dygotały łydki dygnitarzom, otoczonym pułkami wojsk, dysponującym żandarmami, policją, ochraną. Opowiedzmy nie tylko o bohaterstwie męczeństwa, bo nam niczyjego współczucia dziś już nie trzeba, lecz o bohaterstwie czynu, bo ono uczy szacunku. A najlepiej pokażmy na filmie.

Pokazaliśmy.

Pokazaliśmy historyczny fakt, z przyczepioną erotyczną fabułką, bez której byłby filmową ilustracją rozdziału z monografji o rewolucji. Nie zdobyto się na żadne środki artystycznej ekspresji, zdolne głębiej przemówić do widzów. Gra aktorów, choćby na bardzo wysokim poziomie, nie wystarczy, by z filmu zrobić dzieło sztuki.

Swinarski w swych „Karykaturach Poznańskich" daje taką receptę na polski film:

> Jedna Wysocka, ułanów trzy pułki,
> dekoracje z tektury, kostjumy z bibułki,
> aktor bez rąk, bez nóg i bez głowy
> i polski film gotowy.

Tym razem brakło Wysockiej i ułanów, ale bezhołowie artystyczne nie zginęło.

Jak zawsze, zapomniano o czasie trwania, tempie i następstwie obrazów. Byłem raz w towarzystwie, w którem Lucjan Marczewski zabawiał nas przeróbką swego marszu żałobnego z Księcia Niezłomnego na tempo tanga i odwrotnie: jakieś tango grał w pogrzebowem tempie. Było to bardzo zabawne, lecz nie słyszałem nigdy podlejszego marszu żałobnego, ni bezsensowniejszego tanga.

Obraz w filmie, który trwając pięć minut wywarłby potężne wrażenie, mija w pół minuty, ledwo dostrzeżony; inny, coby mógł wstrząsnąć widzami, skoncentrowany w kilku sekundach, zanudza ich przez kilka minut.

Tak znudził też początek „Dziesięciu z Pawiaka". Daremnie Lubieńska była rozkoszna a Samborski robił cudownego Mocha.

Słyszałem, jak ludzie wychodząc klęli przereklamowanie filmu. Nie odstraszało to ich następców, cisnących się do kas. Zresztą gdzie spędzić wieczór. Teatry z wyjątkiem „Ateneum" wciąż nieczynne. Z „Morskiego Oka" i „Wesołego Wieczoru" powstało „Wesołe Oko", lecz po przedstawieniu przychodzimy do przekonania, że lepiej ubawilibyśmy się w „Morskim Wieczorze".

Pisma, które poświęciły cały artykuł pomyślnie załatwionej sprawie teatrów miejskich pod kierownictwem Krzywoszewskiego, w tym samym numerze przynoszą krótką wiadomość, że pertraktacje w ostatnim momencie zostały rozbite. Z aktorsko-dyrektorskiej wojny jeden Szyfman wyszedł nietylko obronną ręką, lecz i z przychówkiem w postaci trzeciego teatru na Chłodnej. Zobaczymy czem nas wkrótce uraczy. S. E.

DANCING NAD MORZEM

2)

Pięćdziesięcioletni podlotek, ociekający tłuszczem szminek, zziajany i spocony, z przylepioną do bladego sadła szatą w czerwone i pomarańczowe kwiaty, potrząsając w tańcu potrójnym podbródkiem, niby pustym, pomarszczonym workiem, tuli się także bez szczególnej emocji do atletycznego drągala. Drągal ma cerę Murzyna, zęby aligatora, złotą bransoletkę na przegubie tatuowanej ręki i wytrząsa danserką z takim zapałem, jakgdyby trzepał dywan. I ta płaska, wiotka Paryżanka zapewne, prezentująca aż do talji spalony słońcem dekoltaż, ucharakteryzowana na angielską *sport-women* włącznie z utlenieniem na kolor jajecznicy po męsku ostrzyżonych włosów, bez przekonania wciska się, inkrustuje w swego znudzonego partnera o oczach mętnych z absyntu i o „elegancji", w której jest coś z gigola, coś z komiwojażera i coś z apasza.

A przy stolikach chrupią w zębach smażone kartofle. Zimna oliwa ścieka po palcach, ocieranych z wzruszającą nonszalancją o włosy, o suknię damy serca, czy o brzeg zalanego piwem, winem i absyntem stołu. Woskowo żółte dzieci wrzeszczą, plącząc się pod nogami garsonów. Coraz to nowe krzykliwe towarzystwa szukają stolików, rozpychając się brutalnie, a znalazłszy je, „panowie stworzenia" rozwalają się wygodnie pierwsi i zajmują najlepsze miejsca. Ich zaś matki, żony, siostry i kochanki, okropnym zwyczajem niektórych ludów łacińskich traktowane z lekceważeniem, jeśli nie z pogardą, pokornie czekają, stojąc „na baczność" i same znoszą sobie krzesełka.

A jazz-band piszczy, miauczy, rzęzi, gwiżdże, szlocha, jęczy, wyje, rży. Sześciu bladych, biało ubranych młodzieńców z Barcelony kieruje z estrady tańcem milczących, ponurych i znudzonych marjonetek ludzkich.

Szesnastoletnie dziewczyny z twarzami przejrzałych kurtyzan, wyrostki z grymasem przesytu na szarych maskach starców wierzgają, trzęsą się i wiją w spazmatycznych drgawkach charlestona. Zastygają na chwilę w bezwstydnych pozach i snują się znów, jak lunatycy, spleceni uściskiem, który pozornie jest tak bestjalski, a w którym niema nic prócz chorej, zmęczonej nudy.

— — — — — — — — —

O gdzie jesteś, wrząca radości życia, szalona, bujna wesołości, która buchasz, jak płomień z pałających rumieńcem twarzy, z błyszczących oczu i tryskasz kaskadami młodego, zdrowego śmiechu tam, w mojej dalekiej, złocistą melancholją jesieni opromienionej ojczyźnie?

Gdzie jesteście, urocze uśmiechy młodych jasnowłosych dziewczątek, które umieją się jeszcze rumienić, drżeć i płonąć w upajającej magji bostona? Gdzie jesteście wy, śliczne, chłopięce oczy, wbite z oczarowaniem, z uwielbieniem, z pierwszym nieśmiałym dreszczem przeczucia miłości w młodziutką danserkę, której ust nikt jeszcze nie całował?

— — — — — — — — —

Gdzie jesteś, ty cudowny kraju, gdzie ludzie śmieją się nawet przez łzy, cieszą się życiem, słońcem, pięknością kobiet i czarem miłości nawet wówczas gdy są głodni?

Gdzie jesteś Polsko, ojczyzno rozkosznych rozrzutników, w której niema biednych, brudnych miljonerów, ale gdzie nędzarze mają gest Vanderbildtów, jedyny na świecie kraju niepraktycznych szaleńców, w którym mężczyzna nie zje obiadu, by kupić ukochanej bukiecik fiołków, a w noc karnawałową „postawi" damie serca szampana, bo właśnie sprzedał na ten cel zegarek?

— — — — — — — — —

W dole, pod wiszącym nad samem morzem tarasem pełnym „bawiących się" dwunogów, raz na tydzień, w niedzielę, kąpie się hałaśliwy tłum w morzu. Ciche i niebieskie, wtuliło się w półkrąg dzikich, czerwonych skał afrykańskich i znużone wrześniowym upałem, leciutko wzdycha — senne i niewymownie piękne.

Cierpliwe jest morze, cierpliwe, czy może tylko pełne wspaniałej wzgardy?

Bo oto na pomoście, ponad jego nieskalanym lazurem, defilują i rzucają się w niebieską wodę z piskiem, wrzaskiem i śmiechem łyse, straszliwe dla oka trytony w pręgowanych trykotach, z fioletowemi karkami apoplektyków i obrośniętemi nogami starych, zreumatyzmowanych szympansów.

Najady — połowice ich, potrząsające z godnością połciami sadła wciśniętego w efektowne, wspaniałomyślnie wydekoltowane kostjumy, majestatycznie dźwigają przed sobą potężne łona niezmordowanych rodzicielek. Panie te z zasady mają żylaki i wchodząc do wody, wydają przeraźliwy okrzyk, zupełnie podobny do gwizdu lokomotywy.

Młode zaś syreny, chowające róż do warg i ołówek do oczu w kauczukowym czepku, prezentują gapiom z tarasu niemal wszystkie wdzięki z wyjątkiem tych, które pełni pruderji starożytni osłaniali poczciwym liściem figowym.

Na nagich poniżej talji plecach mają tylko dwie wąziutkie szelki i kiedy odpoczywają na drewnianym pomoście, siedzą, biedaczki, dosłownie na własnym dekolcie. Skóra ich jest różnokolorowa i waha się między ciepłym bronzem świeżo uwędzonego schabu, a świetną purpurą ugotowanego właśnie homara.

Są z niej dumne, gdyż czytały, że w Juan les Pins i Nizzy im kobieta jest czarniejsza, tem większym tchnie szykiem i szatańskim powabem i tem chętniej latają za nią Anglicy i Amerykanie z obiecującym, wypchanym funtami i dolarami portfelem.

Ale nie one to wzbudzają podziw tłumów gapiących

się z tarasu. Królują na tej afrykańskiej plaży tłuste, białe haremowe piękności hiszpańskie, które wszystkie bez wyjątku noszą pod kostjumem kąpielowym na swych potężnych łonach ciasne napierśniki i gumowe pasy na biodra. Zdarza się, że taki napierśnik pęka z trzaskiem z jednej strony, że pod cienki trykot wylewa się żelatynowata kaskada w formie melancholijnego stalaktytu, podczas gdy druga połowa „biusthalteru" dzielnie podtrzymuje wtoczone w nią masy tłuszczu, z tupetem udające jędrny, strzelisty, niemal że dziewiczy biust. Taki incydent budzi nieco wesołości, a jego bohaterka śmieje się najgłośniej i kąpie dalej swój stalaktyt wraz z innemi wdziękami.

Tam też, w płytkiej i niedyskretnie przezroczystej wodzie, odbywają się tak zwane, niewiadomo dlaczego, „lekcje pływania". Profesorem bywa przeważnie łysiejący satyr, a uczennicą — młodziutka pokojówka hotelowa, maszynistka na urlopie, a może i córka biednego brudnego miljonera. W lekcjach tych jest zaiste wszystko, prócz pływania, a za szczyt szyku uważa się szczypanie uczennicy i klepanie po będących pod ręką wypukłościach. Chwytanie kąpiących się dziewic za nogę, pakowanie im głowy pod wodę, spychanie ich — krzyczących ze strachu — z wysokiego pomostu w morze uważa się także na tej zdumiewającej plaży za gesty pełne wytworności, galanterji i elegancji.

I podczas gdy kobiety niezmordowanie defilują po pomoście, krygują się, prężą, wyginają i przeginają kokieteryjnie, strzelając oczami ku śmiertelnie znudzonym młodzianom z tarasu i ani na chwilę nie zapominają, że prócz gotowania, sprzątania i prania, najważniejszym celem ich doczesnego żywota jest wabienie mężczyzny, oni, „panowie stworzenia", zamieniają się w morzu w gromadzę rozbawionych dzieci, w stado rozigranych fok i rozbaraszkowanych delfinów.

Ślepi są na najbrunatniej opalone damskie plecy, na najpowabniej wymodelowane przez „biusthaltery" stalaktyty, na najpłomienniej wykarminowane uśmiechy. Krzyczą, śmieją się, parskają fontannami wody, walą się po głowach piłką, dosiadają małych, wąskich kajaków, kładą się nawznak na płynnym szafirze, wypływają daleko, wracają, zdyszani i radośni i znów z pomostu rzucają się w niebieską głąb przepięknym łukiem sprężonego ciała.

Kobieta? Ma ona swoje godziny, jak szklanka absyntu. Ale jakże łatwo zapomina się o jej istnieniu, w tej turkusowej otchłani, gdzie pierś oddycha szeroko, gdzie pod bronzową skórą mięśnie grają siłą i rozkosznem poczuciem młodości, gdzie tak dobrze jest stać się zwinnym, radosnym, bezmyślnym tworem, krzyczącem z uciechy dzieckiem i bratem delfina, foki i rekina.

— — — — — — — — —

... Ale oto gaśnie już dyszące białym żarem wrześniowe słońce. Ponury amfiteatr nagich czerwonych skał blednie, mierzchnie głęboki szafir morza. Niebo staje się złote i różowe, a daleka góra Lwów — liljowa, jak urocza wizja na japońskiem kakemono.

Z bladego lazuru, z gasnących turkusów, sapiąc, wyłażą łyse, apoplektyczne trytony w modnie pręgowanych trykotach i ich dostojne połowice, dźwigające przed sobą potężne łona, sumiennie na cały tydzień w soli i jodzie wymacerowane. Biegną w kierunku kabin zalotne, niemal nagie najady w jaskrawych kostjumach i czepkach. Młodzi pływacy z bronzu i miedzi ostatnim pięknym, gibkim skokiem żegnają morze, które za chwilę stanie się cichą taflą ze srebra, splamioną różem ostatnich łun zachodu.

Olśniewająca noc afrykańska, noc z błękitnego kryształu, inkrustowanego brylantami ogromnych gwiazd, czai się już w fioletowym cieniu gór, w gąszczu gajów oliwnych, w ciszy tajemniczych arabskich cmentarzy, gdzie wśród sarkofagów z białego marmuru snują się widma dawno zmarłych księżniczek —

Wrzaskliwy tłum wraca samochodami, tramwajami i autobusami do miasta. Ruda łuna płonących nad niem świateł plami cudowny lazur nocnego nieba i ponad jego wrzask, zgiełk, tumult, nad chory, zgniły oddech jego zbrodni, nędz i gorączki złota wypływa powoli wzgardliwy, wspaniały, niby srebrna tarcza Proroka, księżyc w pełni.

Na tarasie, wiszącym nad morzem z zagasłych szafirów i drżącego od księżycowych promieni bisioru, jazzband jeszcze rży wrzaskiem, jękiem, skowytem, miauczeniem, rzężeniem, kwileniem i głuchym łoskotem bębnów.

A za urwistym cyplem, który w swój miękki, szafirowy płaszcz otuliła już miłośnie afrykańska noc, utkana z błękitu i gwiazd, co chwila wykwita złote, przelotne światło.

To morska latarnia pokazuje sercu pijanemu tęsknotą, że tam, właśnie tam, jest mój kraj ozłocony cichą melancholją jesieni, mój kraj najpiękniejszy na całym ogromnym świecie, kraj, któremu na imię Polska —

Oran, Algierja we wrześniu 1931 HELENA FILOCHOWSKA

O WYCHOWANIU SPOŁECZNEM KOBIET

(Dok. art. ze str. 451)

Wydziale pedagogicznym Wolnej wszechnicy w Warszawie — do typów średnich zaliczyć można: K a t o l i c k ą s z k o ł ę s p o ł e c z n ą w Poznaniu, M a c i e r z y w Warszawie, dla k i e r o w n i c z e k i n t e r n a t ó w pod Wilnem, s p o ł e c z n o - g o s p o d a r c z ą stowarzyszenia „Służby obywatelskiej" w Łodzi. Są nadto szkoły pielęgniarek, higjenistek, gospodyń, uwzględniające pracę społeczną. Odbywają się też dłuższe lub krótsze k u r s y s p o ł e c z n e, ogólnokształcące lub fachowe, dla członków różnych stowarzyszeń i instytucyj — pojawiają się wydawnictwa i artykuły w dziennikach sprawom tym poświęcone.

Odrodzonej Polsce potrzebni są pracownicy społeczni wysokiej miary — tyle dokoła nas nędzy, ciemnoty, występku, cierpienia. Poziom naszej kultury społecznej jest niski. A przecież mamy materjał ludzki często pierwszorzędnej wartości, mamy zadatki i zasoby, które tylko wydobyć i rozwinąć należy. Nie mówiąc już o przeszłości, o Staszicu i pracownikach społecznych porozbiorowego okresu, Polska wydała pisarza społecznego tej miary co Żeromski, poetkę co Konopnicka, służebnika co brata Alberta. Nie brakło nigdy wśród nas ludzi ofiarnych, którzy wedle słów Żeromskiego, „często bezimiennie rozpływali się i znikali w tłumie, lecz nasycali sobą całe pokolenie — co pomnażali do najwyższej granicy moc polskiego ducha: władzę polską... pracę polską... dobro w Polsce".

Drogą przez nich wskazaną iść nam dzisiaj wypada. A pierwsze miejsce należy się tu kobietom: matkom, wychowawczyniom i nauczycielkom. Ich wysiłki około urabiania l e p s z e g o c z ł o w i e k a, zwrócone ku p r z e b u d o w i e d u s z, wpłynąć mogą skutecznie na obyczaje i stosunki, przetwarzać je, powiększać sumę dobra i szczęścia na ziemi. Związane ściśle z zarysowującym się coraz wyraźniej potężnym ruchem dziejowym, zapewnią one kobiecie należny jej wpływ i stanowisko, zdobyte miarą usług i świadczeń oddanych społeczeństwu. Jest to ta sama droga, jaką idąc kobieta otrzymała prawa polityczne, droga p e ł n i e n i a o b o w i ą z k ó w, znaczona czynem, sięgającym nieraz daleko poza progi domowe, ku szerokim dziedzinom zbiorowego życia.

HELENA WITKOWSKA

III

O noble-clémente a-altesse — nous embrassons vos ge-e-noux — śpiewała Niuka i wybijała linją takt na głowie Gracji. Niebardzo mocno, tylko tak, aby Gracja czuła, że ją biją. Właściwie Niuce chodziło raczej o to, aby Gracja czuła, że jej — Niuce — wolno bić ją — Grację. Bo przecież Niuka była pod każdym względem wyższa od Gracji. Była najpiękniejszą ozdobą pensji, najdroższą dzieciną matki przełożonej, niedościgłym wzorem koleżanek z racji swych strojów i przywilejów. Profesorowie liczyli wzrokiem fałdki bluzki na jej piersiach, a Niuka, gdy nie umiała lekcji, wydymała dziecinnie usteczka i mówiła: jak pana profesora kocham, że nie miałam czasu. Patrzyła przytem uważnie z pod zmrużonych rzęs. Wytworna soeur Alphonse lubiła zwierzać się jej cichutko, w mroku pustej klasy, z swoich zawiłych tragedyj życiowych i gładzić przytem gorącą ręką jej gładki kark, poprawiać wycięcie bluzki a czasem zabłądzić ustami i szukając czoła, znaleźć rozchylone wargi. Niuka wychodziła z tych sam na sam przekonana mocno i niezbicie o własnej, przedziwnej wartości.

Gracja była poniekąd własnością Niuki. Bo, gdy kilka lat przedtem powstał po rekolekcjach projekt wykupna jednej biednej duszy murzyńskiej, Niuka malutka jeszcze i śliczna w stroju hiszpańskim grała główną rolę w przedstawieniu „Foire de Seville“. W tajemnicy umalowana przez starsze koleżanki i ufryzowana (wtedy to omal nie wybuchł pożar przez wsuniętą w pośpiechu pod łóżko maszynkę spirytusową) Niuka miała największe powodzenie. Tańczyła podnosząc wysoko kobiece, pełne nóżki a zaproszeni panowie bili brawo. Potem śpiewała cienkim, trochę fałszywym głosikiem i mięła z zawstydzeniem róg fartuszka, aż roztkliwiły się zaproszone panie. Jednak mimo powodzenia zebrano z przedstawienia tylko 65 złotych i 80 groszy, a na wykupno jednej duszy murzyńskiej trzeba było przynajmniej sto złotych. Więc dobra Niuka dopłaciła resztę.

Nie wiadomo ile dostała za swoje dziecko czarna neofitka w białej koszuli, której siostry misjonarki wyłożyły barwnie całe, nieogarnione szczęście czekające Grację. Przypuszczalnie jednak rachunki były w porządku i wszystko zostało załatwione po bożemu. To właśnie, ostatnie słowo rozstrzyga wszelkie możliwe wątpliwości.

Upłynęło już kilka lat od czasu, kiedy w ciemnej sieni w towarzystwie siostry Klary i tajemniczego „Pukania“ zaczęło się szczęście Gracji. Po upływie przeciągłych, od nocy ciemniejszych dni wtargnęła tam siostra Anna, dyrektorka. Była duża, tęga, patrzyła ostro jasnemi oczami i zarządzała pensją jak folwarkiem. Oglądnęła zaskoczoną Grację, pogłaskała ją krótkim ruchem po wełnistej głowie i powiedziała poufnie pełnej szacunku siostrze Klarze — że to nie ma sensu. Potem poprowadziła oszołomioną, uległą Grację, przez kaplicę i podwórze do klasy. Tam było jeszcze słońce. Ukośnym, zachodzącym promieniem świeciło w okna, a w klasie była rekreacja.

Gracją zaopiekowała się Niuka. Poprostu oświadczyła: to jest moja Murzynka. Wspomnienie dopłaconej przez nią sumy powstrzymało sprzeciw koleżanek. Pozatem Gracja, stojąca na środku klasy, niezgrabna, wystraszona ale widzialna, nie była już taką egzotyczną sensacją, jak kryjąca się w mrokach sieni dzika Murzynka. Nie można było na nią polować. Budziła politowanie tych przyszłych łatwo wzruszających się kobiet. Nie dokuczały jej, tak jak przypuszczalnie nie dokuczałyby wprowadzonemu między nie zwierzęciu. Z tych samych pobudek a może także z rozbudzonego nagle prawa własności zajęła się Gracją — Niuka.

Odtąd dni Gracji potoczyły się równolegle, na podobieństwo szyn kolejowych i wydłużały się nieskończenie w tygodnie, miesiące i lata. Byłoby oczywistem kłamstwem, gdyby je opisać jako pasmo niesłychanych cierpień fizycznych i moralnych tragedyj. Najprzykrzejsze chwile minęły zanim Gracja nauczyła się wysłowić je w zrozumiałym języku i zostały zapomniane. Opieka Niuki była znośną tyranją, pozatem wyrażała się czasem ofiarowaną czekoladą, bielizną, suknią. O przykrości przyjmowania tych rzeczy nie mogło być mowy. W przeszłości Gracji nie było nic takiego, z czemby mogła porównać niekorzystnie teraźniejszość. Opinją jej jedynej przyjaciółki, strażniczki wieczorów i niespokojnych nocy — siostry Klary — było przyjmowanie wszystkiego w imię pokory. A własnem mniemaniem Gracji, opartem na niejakiem doświadczeniu, było — przyjmowanie wszystkiego w imię bierności.

Na pensji porządek był niezmienny. Dzień zaczynał się dzwonkiem. Rozbity dźwięk, powtarzany z wyraźną przyjemnością przez siostrę o żółtej twarzy i chorobliwie skrzywionej szyi, szarpał na strzępy ostatnie, miękkie powijaki snu. Dzwonek wraz z przejmującym chłodem sypialni i lodowato zimną wodą był nienawistnem powitaniem dnia.

„Śpieszcie się — spóźnicie się na mszę“, powtarzała siostra i zaglądała za firanki ograniczające ciasnym kwadracikiem każdą umywalnię. Pilnowała, aby mycie odbywało się przyzwoicie i skromnie.

Msza św. Dźwięk tego słowa był pusty i bez znaczenia, choć miał być niejako punktem zaczepienia całego dnia. Zużył się poprostu w codziennem użyciu, w chłodzie i mroku zimowych poranków. Wątłe dziewczęta drzemały zakrywając twarze białemi welonami i budziły się, gdy trzeba było wstać lub klęknąć. Inne, silniejsze, klęczały wpatrzone w światło świec, przykładne w skupieniu, które pokrywało niecierpliwe czekanie na koniec mszy i śniadanie. Gracja kaszlała. Studencik z 3-ciej gimnazjalnej, usługujący do mszy, był przedmiotem bacznej obserwacji młodszych dziewczynek.

Od śniadania zaczynał się ruchliwy, ale ujęty w ramy dzwonka — dzień. Nie był pozbawiony atrakcji. Uczyli profesorowie i nauczycielki z „miasta“. Przybiegały zaróżowione z pośpiechu dochodzące pensjonarki. Przynosiły ze sobą wspomnienie domów, matek, w biały papier zawinięte smaczne śniadanie, kolportowały gazety z opisami skandali i przemycały listy. Bo na pensji nawet listy do rodziców były cenzurowane. Godziny lekcyj przynosiły ze sobą czasem śmiech, czasem łzy, czasem trochę zainteresowania. Przy lekcjach młodych profesorów asystowała zawsze siostra w roli przyzwoitki. Podkreślało to moment drżącego w powietrzu niebezpieczeństwa i sprzyjało doskonale masowym, nieszczęśliwym miłościom.

Po lekcjach był obiad rozpoczęty i zakończony modlitwą, po obiedzie był jednogodzinny powolny spacer po ustronnych ulicach miasta pod opieką dwóch sióstr. Po spacerze zasiadały dziewczęta w dwóch klasach, dla oszczędności opału i światła i w przymusowej ciszy odrabiały lekcje aż do wieczora, z małą przerwą na podwieczorek. W klasach było duszno. Niedomyte, dręczone anemją ciała wydzielały niemiłą woń. W zakładzie były wprawdzie łazienki, ale kąpiel odbywała się raz na miesiąc. Do kilku wanien, oddzielonych firankami, wchodziły kąpiące się, ubrane w koszule i pod przewodnictwem pilnującej siostry odmawiały modlitwy. Dla odpędzenia złych myśli. To też kąpiel była oczekiwana gorąco, ze skrytą nadzieją na te złe myśli.

Był to nurt głęboki i mętny pod ugładzoną powierzchnią codzienności. Powstawał z owych modlitw, gdy mokra koszula w drażniących zarysach znaczyła ciało,

z ostrzegawczych przekreśleń w książkach z bibljoteki szkolnej (słowa odcyfrowane pod światło płonęły w umysłach dniem i nocą). Z przemilczeń o sprawach dojrzewającego ciała, złaknionego swobody ruchu, powietrza, wody, powstawały zwierzenia szeptane w rozpalone uszy, nagłe przyjaźnie wybuchające scenami zazdrości i w ciszy nocnej ukryte gesty tajemnych pieszczot. Wyobrażenia potworne nieraz, były objęte ogólną nazwą „złych myśli" tak, jak uczynki anormalne, przeciwne zdrowiu, nosiły imię „nieskromnych dotknięć". Były terminy gotowe, wyjęte z drukowanych rachunków sumienia, mające objaśnić wszystko w przytulnem wnętrzu konfesjonału.

I nie mogło być inaczej. Za matowemi szybami domu były szerokie drogi życia, a tutaj wydeptane, małe dróżki prowadziły niezmiennie z sypialni, przez klasy i jadalnię do kaplicy. Jednakowo skrzypiał zawsze jeden stopień wąskich schodów. Szły po nich dziewczęta somnambuliczki, zapatrzone w zjawy swoich wyobrażeń, i inne boleśnie czuwające, obudzone i kipiące życiem, zbuntowane i bierne spychające codzienny trud dnia. Szły malutkie, płaczące nocami w zimnych łóżeczkach, tęskniące za pogłaskaniem i chłodne przedwcześnie dojrzałe kobiety — jak Niuka. Na końcu szła Gracja. Kaszlała. Mrok kaplicy był chłodny. Kolana i łokcie szukały najlepszego oparcia. Rytm słów miarowy spadał głosem zakonnicy, wznosił się głosem dziewcząt. Gracja cichutko wystukiwała rytm. Dla siebie samej. Przed nią Wanda i Niuka wypięły się i chwiały biodrami. Do taktu słów tańczyły klęcząc nieprzyzwoity taniec własnego pomysłu. W pierwszych rzędach, małe, otwierały przemocą senne oczy i mówiły z przekonaniem — amen. Modlitwa trwała —

za duszę X —
za rodziców
za ojca św.
za ojczyznę
za pomyślne zdanie matury
na intencję a
za niewiernych
za zdrowie siostry Klary —

Gracja zgubiła rytm.

IV

Siostra Klara umarła. Chorowała niedługo, raz jeden tylko był lekarz. Siostra infirmerka mówiła, że ostatniej nocy wołała Grację. Ale za klauzurę nie wolno było wchodzić i zanim matka przełożona dała pozwolenie, było już za późno. Któregoś ranka, gdy Gracja przyszła na mszę, zastała na środku kaplicy niewielkie czarne podwyższenie wśród kwiatów i świec. Matka przełożona ujęła Grację za ramiona i podprowadziła do trumny. Szepnęła cichutko: „moje biedne dziecko, siostra Klara — umarła" i uniósłszy całunu ukazała zżółkłą, drewnianą twarz i ostro wokół krzyża zgięte ręce. Pod zdziwionym wzrokiem sióstr i koleżanek Gracja cofnęła się i śpiesznie wróciła na swoje miejsce. Soeur Alphonse, drżąca nerwowo w oczekiwaniu rozpaczliwego, zwierzęcego krzyku — odczuła coś w rodzaju podziwu. Matka przełożona nagłem spłynięciem na kolana pokryła wzburzenie. A Gracja przysłoniwszy twarz białym welonem, walczyła z gwałtowną ochotą do śmiechu.

(C. d. n.) JANINA OSIŃSKA

ZAZDROŚĆ

WŁAŚNIE Jerzy, wyciągnięty na kanapie, przygotowywał się psychicznie i fizycznie do przeniesienia się w stan, popularnie zwany snem, gdy nagle do gabinetu wpadł z rozwianą łysiną jego przyjaciel Julek.

— Co się stało?

— Straszna rzecz! Katastrofa! Złamane życie!

— Złamane życie — to zawsze jednak mniej niż np. złamane nogi, — zażartował Jerzy, co gościa wprawiło we wściekłość.

— Zawsze byłeś, jesteś i będziesz błaznem. Ja namyślam się, czy sobie w łeb nie palnąć, a ty pozwalasz sobie na głupie żarty. Wiesz, co się stało?

— No?

— Żona... żona... żona moja... no... poprostu zdradziła mnie!

— A czy przestała cię kochać?

— Nie. Nie przestała mnie kochać. Przeciwnie: twierdzi, że po „tem" kocha mnie więcej jeszcze niż przed „tem". Ale mnie zdradziła.

— No, to głupstwo.

— Zwarjowałeś?

— Jeszcze nie. Głupstwo, — mówię, — bo jeżeli cię nadal kocha, — a twierdzisz, że nawet więcej, — to przecież właściwie nic się nie stało, nic nie straciłeś. Nawet zyskałeś.

— Tak, zyskałem: — rogi! Więc przypuszczasz, że po tem wszystkiem mam się zachowywać jakgdyby nigdy nic? Co? Nie. Tak nisko nie upadłem. Wszczynam kroki rozwodowe, tylko przedtem muszę dać nauczkę temu łajdakowi.

— Jakiemu łajdakowi?

— Orłowiczowi.

— A, to on. No, to nie łajdak, to bardzo porządny człowiek. Sam przecież mi dowodziłeś, że podobną syntezę dobroci i inteligencji trudno spotkać. Na podstawie takiej drobnostki z dziedziny, ściśle biorąc, pozaetycznej zmieniać sąd o człowieku, — to nieładnie. Co masz mu właściwie do zarzucenia?

— Idjota! — Postanowiłem go wyzwać, a ciebie proszę na świadka.

— Chcesz go wyzywać od łajdaków i żebym ja przytem był? Dziękuję. Nie używam.

— Znowu błaznujesz. Wyzywam go na pojedynek i przypuszczam, że jako przyjaciel nie odmówisz mi zwykłej w takich razach przysługi.

— Źle przypuszczasz. Odmówię.

— Jakto? Co to znaczy?

— No, że nie uznaję pojedynków wogóle z przyczyn, które już niejednokrotnie ci wyłuszczałem, a po drugie, że w danym wypadku byłoby szczególnym idjotyzmem narażać życie własne i drugiego porządnego człowieka dla tak błahego powodu.

— Błahego powodu! Wiesz, że jesteś rozbrajający. We mnie się wszystko burzy, a ty...

— Czekaj, czekaj! A propos burzy. Pamiętasz, było to zdaje się w rok po twoim ślubie. Opowiadałeś mi, — przecież między nami niema tajemnic, — że dzięki burzy przeżyłeś słodkie sam na sam z jakąś uroczą blondynką. Wracaliście, — mówiłeś, — z jakiegoś odczytu (żona pozostała tego wieczoru z powodu niedyspozycji w domu), lunął okropny deszcz, poprosiłeś ową blondynkę o pozwolenie przeczekania u niej ulewy, ona się zgodziła i... jakoś ta burza tak wzburzyła wam krew, że...

— Daj spokój, to dawne dzieje. To był epizod, przypadek. To zdarzenie zresztą poszło w zapomnienie. Już nie istnieje. Zostało niejako zagrzebane, zakopane.

— Czekaj, czekaj! A propos Zakopanego. Pamiętasz, było to zdaje się w półtora roku po twoim ślubie, właśnie w Zakopanem. Opowiadałeś mi, — przecież między nami niema tajemnic, — o tej narciarce, z którą...

— Jerzy, przestańże nareszcie grzebać się we wspomnieniach. Wiem, do czego zmierzasz. Chcesz udowodnić, że akt zdrady...

— Czekaj, czekaj! A propos aktu. Pewnie w jakieś dwa lata po ślubie chwaliłeś mi się, — przecież między nami niema tajemnic, — że zupełnie przypadkowo, prawie niechcący, „zdobyłeś“ pewną mężatkę. Mówiłeś, że miała cudowny akt. Że Venus Milońska to w porównaniu z nią — pies.

— Tak, tak, tak, mówiłem, — wykrztusił wściekle Julek. — Chcesz powiedzieć, że...

— Że jesteś taki sam łajdak jak Orłowicz.

— Jest jednak pewna różnica, — bronił się Julek, — polegająca na tem...

— Że tam — to była cudza żona, a tutaj wchodzi w grę twoja żona.

— Tak, tak, właśnie ta różnica. Jeżeli ty tego nie rozumiesz, to dowód, że wogóle nie wiesz, co to jest miłość. Gdzie jest miłość, tam musi być zazdrość. Ja swoją żonę kocham do szaleństwa i dlatego...

— I dlatego ją zdradzasz.

— Wiesz, Jerzy, jesteś sadystą. Myślałem, że jako mężczyzna zrozumiesz mnie. Myślałem, że znajdę w piersi przyjaciela...

— Czekaj, czekaj! A propos piersi. Upłynęło już pewnie ze dwa lata od tego wieczoru, podczas którego opowiadałeś mi, — przecież między nami niema tajemnic, — o tej wycieczce nad morze. To tam, w jakimś hoteliku na Helu, widziałeś ten cud urody kobiecej, którego właścicielką była nie twoja żona. Opowiadałeś mi, jakie były elastyczne, jakie prężne, jak pięknie osadzone, jakie białe i jak twym ustom przychylne.

— Dosyć, dosyć, Jerzy. No, dobrze. Czego chcesz? Przyznaję, — jestem kanalja, podlec, bydlę, łotr, nędznik, łajdak!

— Bardzo przepraszam, — oburzył się Jerzy, — zabraniam ci obrażać w moim domu mego przyjaciela.

— Jakiego przyjaciela?

— No, ciebie.

— Kiedy ja jestem łajdak!!

— Przestań. Nie jesteś.

— Jestem łajdak, rozumiesz!!! — ryknął groźnie Julek i huknął pięścią w stół.

— Ano, jeżeli jesteś, to trudno. Zrozumiesz mnie teraz, że nie chcę brać udziału w pojedynku łajdaków.

* * *

Na kłębach dymu tytoniowego zawisło milczenie. Juljusz chodził po pokoju i gryzł górną wargę. Jerzy wpatrywał się w koniec swego lakierowanego bucika. Czuć było, że w tej ciszy toczy się dalej bezsłowna dyskusja, że ten gryzący górną wargę ulega temu wpatrzonemu w but. Usiadł i spokojnie powiedział:

— Tak, Jerzy, masz rację. Nie mam prawa wyzywać Orłowicza, nie mam prawa potępiać żony, — ale co zrobić z tą zazdrością, która, psiakrew, nie chce nad tem wszystkiem przejść do porządku dziennego?

— Myśleć — odparł Jerzy. — Logicznie, konsekwentnie myśleć. Zazdrość jest bakcylem wyhodowanym na pożywce nielogicznego i niesprawiedliwego sądu o t. zw. zdradzie. Zniszczyć trzeba tę pożywkę, a bakcyl zdechnie.

— Nie, — zaprzeczył Juljusz, — zazdrość to korelat miłości, to wszechludzki, naturalny instynkt.

— Wszechludzki, — to przesada. Naturalny, — to kłamstwo. Instynkt, — to złudzenie. Słyszałeś o tych egzotycznych plemionach, gdzie gościa częstuje się na noc własną żoną, a odmowę traktuje się jako obrazę? Oczywiście nie popieram tego zwyczaju, ponieważ nie liczy on się z wolą kobiety, ale uważam go za dostateczny dowód, że zazdrość nie jest ani wszechludzka, ani naturalna, ani instynktowna.

— Więc, twojem zdaniem, żona może bezkarnie zdradzać swego męża z kim chce i ile razy chce?

— Pozwolisz, że zamiast odpowiadać odwrócę to pytanie i zapytam, czy mąż może bezkarnie zdradzać swoją żonę z kim chce i ile razy chce?

— Też nie.

— A jeżeli jednak to robi? Jeżeli to robi wiedząc, że nie powinien? — To widocznie pcha go do tego jakaś konieczność wewnętrzna. Widocznie uważa, że to, — przynajmniej w danej chwili, — daje mu więcej szczęścia. A szczęście człowieka winno być jedynym sprawdzianem racjonalności każdej etyki.

— Zapominasz o drugiej stronie, która cierpi.

— Cierpi, bo uzurpuje sobie prawo własności w stosunku do człowieka, bo potępia, bo niewłaściwie sądzi, bo wyolbrzymia drobiazg do rozmiarów tragedji, bo nie kocha na tyle, żeby umieć usprawiedliwić fakt w gruncie rzeczy nieistotny, bo nie umie myśleć. Rozumiem cierpienie w wypadku utraty ukochanego człowieka, t. j. w wypadku, gdy ten przestanie kochać. Bo miłość tylko jest tą doskonałą, nieskończenie cenną wartością, której utrata jest tragedją. O miłość można być zazdrosnym, t. j. można się lękać jej śmierci, która jest śmiercią szczęścia. Ale zdrada fizyczna? Czy to jest naprawdę taka ważna rzecz? Czy moje a propos, których tyle ci wyliczyłem, są dowodem, że nie kochasz żony? Powiedziałeś, że kochasz ją do szaleństwa. Jeżeli tak, czy uważałbyś to za celowe, gdyby żona wyzwała na pojedynek te wszystkie blondynki i brunetki i wszczęła kroki rozwodowe? Uznaję podwójną buchalterję, ale nie uznaję podwójnej moralności.

— Czy jednak nie za daleko idziesz? Bądź co bądź kobieta... jakby ci to powiedzieć... w każdym razie... no, jednak łatwiej może się opanować, jest mniej aktywna erotycznie i...

— I taka nie zdradza.

— No tak, taka nie zdradza — przytaknął Juljusz z pewnem wahaniem.

— A taka, która zdradza, to jest właśnie, jak ty to nazywasz, „bardziej aktywna erotycznie“. Jest taka jak ty i musi korzystać z tych samych praw...

— Co ja?

— Doskonale. Co ty.

— Wiesz Jerzy, mam jednak wrażenie, że kobiety, mimo że głównie w ich obronie stajesz, nie podpisałyby się pod twojemi teorjami.

— Mylisz się. To, co ja nieudolnie tu ci tłumaczyłem — wszechstronniej, głębiej i bardziej przekonywająco wyklarowała już kobieta: — Krzywicka.

— Krzywicka, powiadasz?

— Tak jest, Krzywicka, u której trzewików niegodni jesteśmy rozwiązać rzemyka.

— Eh, ona chyba nie nosi bucików sznurowanych.

— Tem lepiej. Łatwiej nam będzie znieść naszą niegodność.

— No, Jerzy, żegnaj. Idę do domu oblekać twoją teorję w ciało.

— Czekaj, czekaj. A propos ciała. Opowiadałeś mi kiedyś, — przecież między nami niema tajemnic, — o tej...

— Idź do stu ciężkich djabłów ze swojem a propos! huknął Julek i zatrzasnął drzwi.

* * *

Kochane Czytelniczki! Przebaczcie mi, że ten feljeton nie jest bardzo dowcipny. Wystarczy, jeżeli uznacie go za interesujący. Mnie osobiście ogromnie ta rozmowa Jerzego z Juljuszem zainteresowała i dlatego pozwoliłem ją sobie Wam przytoczyć. Ciekawy jestem Waszego zdania co do meritum sprawy. Zaspokójcie moją ciekawość! Adres mój: Zakopane, Rynek, dom klimatyczny.

JÓZEF CZYŚCIECKI

CZY WOLNO KŁAMAĆ W MAŁŻEŃSTWIE?

SĄD BERLIŃSKI wydał w tych dniach ciekawy wyrok w jednej sprawie rozwodowej.

Mąż skarżył o rozwód z powodu „niewierności przed ślubem". Rzecz miała się tak: pewien młody człowiek po kilku latach zażyłej przyjaźni z młodą dziewczyną, oficjalnie się z nią zaręczył i wreszcie ożenił. Po dwuch latach dowiedział się przypadkiem, że podczas jego dłuższej nieobecności, jeszcze w czasie narzeczeństwa, obecna małżonka zdradziła go z jednym z jego przyjaciół. Udał się więc natychmiast do swego adwokata i wniósł skargę do sądu o unieważnienie małżeństwa, utrzymując, że nigdyby się z nią nie ożenił, gdyby się już wcześniej o tej zdradzie dowiedział.

Sąd przyznał mu rację i dał mu rozwód.

Wyrok ten jest czemś zupełnie nowem w dziedzinie sądownictwa, gdyż ignoruje zasadniczo ogólnie przyjęte obyczaje. Zmusza mężczyznę i kobietę do niezłomnej wierności od chwili zaręczyn aż do ślubu, bez względu na to, że obietnica małżeństwa nie zawsze zostaje dotrzymana i że nie jest obowiązująca z punktu widzenia prawnego.

Wynik tego procesu może więc mieć wręcz nieprzewidziane skutki: ułatwia on bezprzykładnie otrzymanie rozwodu jednemu z małżonków, który z jakichkolwiekbądź powodów zapragnie zerwać więzy małżeńskie i popiera w nieograniczonej mierze szpiegowską działalność różnych biur wywiadowczych i pokątnych detektywów.

Zwłaszcza dla danej kobiety jest kara zburzenia jej ogniska domowego zbyt wysoką, gdyż za przewinienie należące już do przeszłości i popełnione w innej zupełnie sytuacji życiowej musi po wielu latach odpokutować, choćby nawet była teraz wzorową żoną i matką...

Z drugiej strony jednak nie można się dziwić i mężowi. Być może, nie kochał już wówczas swej narzeczonej pierwszym żarem miłości i ożenił się z nią tylko z poczucia moralnego obowiązku. Teraz zaś stracił nawet i zaufanie do swej towarzyszki życia, która zataiła przed nim tę sprawę, bardzo dla niego ważną. W każdym razie czuł się nietylko zdradzony, ale i oszukany, i sąd wychodząc właśnie z tego założenia unieważnił małżeństwo.

Oryginalny ten proces rozwodowy nasuwa nam szereg uwag, ściśle związanych z tem zagadnieniem.

Czy wolno kłamać w małżeństwie? Każdy odpowie: nie! Ale czy można mówić we wszystkich skomplikowanych i trudnych okolicznościach życiowych zawsze szczerą prawdę?

Prawdę można porównać z arszenikiem: mała doza działa jak lekarstwo, duża doza — jak trucizna... I prawda może zatruć a nawet zniszczyć życie. I nie wiadomo co jest cięższem zadaniem: mówienie prawdy, czy też zniesienie bezwzględnej otwartości. Nie każdy posiada dosyć hartu ducha, by znieść brutalną szczerość drogiej mu osoby i wielu ludzi woli żyć szczęśliwie za cenę kłamstwa, niż stanąć nagle oko w oko z nieubłaganą, zabójczą prawdą.

Zdobycie się na bezkompromisową szczerość jest szczególnie w małżeństwie niezmiernie trudnem zadaniem. Nawet ci „postępowi" mężczyźni, powtarzający zawsze: „wolę najgorszą prawdę, niż żyć w kłamstwie" i utrzymujący, że i żona ma prawo do erotycznej wolności i do sięgnięcia po zakazany owoc — ci sami cierpią strasznie, gdy dowiadują się o zdradzie, choćby najbardziej epizodycznej ich towarzyszki życia, i zapomniawszy o swych maksymach, robią jej najcięższe wyrzuty.

Miłość ginie w atmosferze kłamstwa, lecz małżeństwo nie może się utrzymać w atmosferze bezwzględnej prawdomówności! Nie można tego wszakże stosować do wszystkich małżeństw. Wyznanie lekkomyślnego kroku jednego z małżonków przyczynia się często do zacieśnienia istniejących więzów i wytwarza niejako renesans uczuć, które z biegiem czasu straciły na intensywności.

Zaznaczyć należy, że nie ma tu mowy o tych kobietach, które kłamią z perwersyjnej przyjemności, których duchowa struktura nie dozwala poprostu na mówienie prawdy. Kobiety te kłamią z przyzwyczajenia, z głupoty, czasem tylko z bezmyślności.

Również niebezpieczną jest kategorja kobiet, która zasadniczo i kategorycznie zawsze mówi prawdę. Doprowadza to do takiego absurdu jak w pewnym wypadku, gdzie żona po dziesięcioletniem pożyciu małżeńskiem zakochała się nagle w innym mężczyźnie. Wierna swoim zasadom wyznała zaraz swą miłość mężowi i od tej chwili bezustannie rozmawiała z nim o swoim kochanku, wtajemniczając go we wszystkie fazy tego stosunku. Gdy epizod ten skończył się ciężkiem dla niej rozczarowaniem, musiał ją własny mąż pocieszać i uspokajać! Czy cnota prawdomówności nie była tym razem posunięta za daleko??... Gdyby trzymała zdradę swą w tajemnicy, oszczędziłaby mężowi wiele bólu, przykrości i zbytecznego cierpienia, gdyż o ile ma się już zamiar z inną miłością w sercu zostać przy mężu, to nie należy chociaż palić wszystkich mostów za sobą. On nie zauważyłby może żadnej w niej zmiany, a później, po tym krótkim paroksyzmie przejściowej miłostki, zdwoiłaby ona, jako rekompensatę za swą niewierność, czułość i serdeczność w stosunku do niego. Nietylko więc, że ochroniłaby go od tych mąk Tantala, lecz jeszcze przysporzyłaby mu radości i szczęścia...

I tu nie mam na myśli lekkomyślnej i niejako chronicznej niewierności małżeńskiej, tylko konflikty dojrzałych i świadomych swego postępowania jednostek, działających pod naciskiem uczuć, nie dających się opanować więzami rozsądku i obowiązku.

„Poco mówić zaraz całą prawdę — powiedział raz słynny malarz niemiecki Max Liebermann — mówić prawdę też już wystarcza!"

Rozważmy jedną jeszcze kwestję należącą do grupy tych samych zagadnień. Czy narzeczona ma prawo sfałszować swą datę urodzenia? Czy zatajenie prawdziwego wieku przed przyszłym małżonkiem jest nieuczciwością i kłamstwem? Przyznanie się do swych lat jest wszak najtkliwszą stroną słabej płci, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, gdy tyle wagi przywiązujemy do młodocianego wyglądu.

I na to pytanie daje nam odpowiedź wyrok sądowy w innej sprawie rozwodowej.

Mąż chciał otrzymać rozwód na podstawie faktu, że żona „oszukała" go co do swego wieku, odejmując sobie trzy lata. Wychodził z tego założenia, że byłby się z nią na pewno nie ożenił, gdyby znał autentyczną datę jej urodzin — ona natomiast zeznała przed sądem, że kwestja jej wieku była mężowi zupełnie obojętną, zwłaszcza że wniosła mu pokaźny posag. Sąd wydał wyrok na korzyść żony i odrzucił skargę rozwodową męża, utrzymując, że trzy lata w życiu kobiety nie odgrywają zbyt wielkiej roli i że niema żadnych danych, że pan ten inaczejby się zdecydował, gdyby był dokładniej poinformowany co do liczby wiosen swej narzeczonej. Obciążającym dla niego był szczegół, że żona jego nawet po odjęciu owych trzech lat była tylko o dwa lata od niego starsza i że w przeciągu jednego roku roztrwonił on kompletnie wielki jej posag. Zauważył więc dopiero wtedy, że żona jest dla niego za stara, gdy posag stopniał doszczętu!

Mimo pewnej tragikomicznej domieszki, proces ten daje nam wiele do myślenia. Dla mężczyzny jest wiek jego przyszłej żony bardzo ważną rzeczą. Przysłowie: „Kobieta ma tyle lat, na ile wygląda" — jest zupełnie słuszne, ale nie — gdy wchodzi w grę poważna instytucja małżeńska, obliczona — przynajmniej w zasadzie — na długą metę. Z biegiem lat daje się różnica wieku między małżonkami coraz dotkliwiej we znaki, tem bardziej, że kobieta prędzej się starzeje niż mężczyzna, i że małżeństwo „młodego" czterdziestoletniego człowieka ze „starą" czterdziestopięcioletnią kobietą nie zawsze cieszy się pożądaną harmonją. Kwestja ta przedstawia się inaczej, gdy obydwie strony są dokładnie poinformowane co do swego wieku i liczą się odrazu z tą różnicą. Każdy mężczyzna ma prawo uważać takie postępowanie za nierzetelne, twierdząc słusznie, że do kobiety, która już przed ślubem go „oszukuje", nie może mieć wielkiego zaufania.

Kłamać — nie wolno... Zawsze mówić prawdę — niepodobna... Cóż więc czynić??

Dyplomatycznie lawirować między brzydkiem kłamstwem i brzydszą jeszcze czasami prawdą — gdyż jak tu prowadzić wogóle bez pomocy dyplomacji długoletnią „wojnę domową", nazwaną małżeństwem??...

MARCELLA HALICZ

DUSZA BUŁGARJI

(Dok. art. ze str. 454)

Mijam automobilem wioski, gościńce, miasteczka, lasy — czyż nie jest to duchowy pejzaż Dymitrowa, czyż nie są to jego ludzie? Czyż dopiero Dymitrow uczy patrzeć cudzoziemców na swój kraj? Ale czyż naprawdę jesteśmy tu cudzoziemcami? Czy z tymi ludźmi nie mamy nic wspólnego? Czyż my dłonią nie ochraniamy naszych kwiatów, jak tamte dziewczęta z pod kościoła w świątecznych, bronzowych ze złotem stanikach — albo te z obrazów? Czyż naprawdę jesteśmy na dzikich Bałkanach? Nie. Jestem w domu. Jestem wszędzie w domu tam, gdzie ludzie walczą o wiarę, o pokój, o czystość.

Może jadę na wozie osłoniętym i szukam białej jaskółki jak ludzie Jordana Jowkowa, może wierzę, że mnie przytuli nie gwiazda, ale ziemia, jak wierzy kamienna kobieta Łazarowa i może ochraniam swoje kwiaty jak ci wszyscy z obrazów Dymitrowa, najradośniejszego... ascety?

Więc już wiem, że pewnie źle napisałam „Dusza Bułgarji". Bo pomyśl, czy to nie dusza moja i twoja? ich i wasza? nas wszystkich?

KAZIMIERA ALBERTI

Z HIGJENY I KULTURY CIAŁA

3)



KAŻDY człowiek dbały o rozwój swego ciała i umysłu musi sam wypróbować co mu najlepiej służy i o taki wikt się starać. Argumentem, najlepiej w obronie tych słów przemawiającym, będzie obserwowanie bliźnich w restauracji. Inne potrawy wybiera kobieta, inne mężczyzna, inne dzieci. Odmienny gust wykazują młodzi, a inny starzy. Tak samo otyli i szczupli. Każdy szuka, instynktem wiedziony (o żarłokach i łakomcach nie mówię), tego czego organizm najwięcej potrzebuje.

Dlatego to tak trudno zawyrokować jaki wikt jest najzdrowszy i ustalić higjeniczne menu dla wszystkich, i dlatego diety zalecane jednym mogą zaszkodzić drugim.

Trzeba znać dobrze swój organizm i jego słabe strony, poznać wartości odżywcze wszystkich środków spożywczych, nie poto tylko jeść, ażeby się nasycić i przesycić, lecz żeby odżywić ciało.

Ponieważ obawiam się znudzić moje najcierpliwsze Czytelniczki, więc obudzę ich zainteresowanie czemś innem. Opiszę wikt — nie kurację odchudzającą — ale solidny, obfity wikt stosowany przez różne nasze bożyszcza w Hollywood. Hollywood jest tem czarodziejskiem słówkiem, które działa magicznie na umysły, mam więc teraz pewność, że mnie panie będą słuchały, t. j. czytały z naprężoną uwagą.

Gwiazdy w Hollywood nie opowiadają, że nic nie jedzą, owszem, są nawet nieraz zdania, że za dużo jedzą. Ale gdyby im moja „nic nie jedząca" pani, której podobizna zdobi mile tę stronę, przedstawiła swoje skromne menu — gwiazdy z samego słuchania zapadłyby na niestrawność i straciły odrazu kilka kilogramów żywej wagi.

Oto zatem wikt, który syci, pozwala często jeść, jest urozmaicony, a gwarantuje ultra-szczupłą sylwetkę. Tę nieprawdopodobną, z ekranu.

Przedewszystkiem podczas posiłków zasadniczo nie wolno pić, lecz dopiero po skończonem jedzeniu.

Porządek dnia:

Pierwsze śniadanie: 1 — 2 filiżanek słabej herbaty z sokiem z połowy cytryny, wydrążona bułeczka, 1 płatek chudej szynki, 1 jajko na miękko.

Drugie śniadanie: 1 lub 2 jabłka nieobrane z łupki, albo 2 marchewki.

Obiad: jarzyny bez zaprażki, gotowane mięso, główka sałaty.

Podwieczorek: 1 lub 2 filiżanki herbaty z cytryną jak wyżej, 2 lub 3 cwibaczki bez masła.

Kolacja: 1 jajko na miękko albo płatek chudej szynki, lub mięsa gotowanego, 2 cienkie kromeczki grahama albo razowe sucharki ekonomicznie masłem nasmarowane.

Na tle podanego tu przykładu można robić różne odmiany, tak ażeby uniknąć monotonji. Sok z 1 — 2 cytryn rozdzielony w ciągu dnia obniża wagę wprawdzie bardzo powoli, ale systematycznie. Picie po posiłkach wody zawierającej kwas węglowy zapobiega również tyciu.

A teraz oryginalna kuracja obchudzająca, stosowana w Hollywood, a trwająca 18 dni.

Codzień na śniadanie filiżanka białej kawy i pół grapefruit.

1. dzień. W południe: pół grapefruit, 1 jajko, 1 pomidor, 1 sucharek razowy, herbata lub kawa. Wieczór: 2 jajka, 1 pomidor, pół główki sałaty, pół grapefruit, czarna kawa.

2. dzień. W południe: 1 pomarańcza, 1 jajko, główka sałaty, 1 sucharek razowy, herbata. Wieczorem: duszony kotlet, 1 pomidor, pół główki sałaty, pół grapefruit, herbata lub kawa.

3. dzień. W południe: pół grapefruit, 1 jajko, sałata, kwaśny lub zielony ogórek, herbata lub kawa. Wieczór: chudy kotlet barani, 1 jajko, 6 rzodkiewek, ½ grapefruit, główka sałaty, herbata lub kawa.

4. dzień. W południe: biały ser, pomidor, ½ grapefruit, razowy sucharek, herbata lub kawa. Wieczór: kotlet duszony, sałata, ½ grapefruit.

5. dzień. W południe: pomarańcza, kotlet barani, główka sałaty, herbata. Wieczór: ½ grapefruit, główka sałaty, pomidor, 2 jaja, herbata.

6. dzień. W południe: pomarańcza, herbata. Wieczór: jajko w koszulce, razowy sucharek, pomarańcza, herbata.

7. dzień. W południe: kotlet duszony, główka sałaty, grapefruit, kawa. Wieczór: 2 jajka, szpinak bez zaprażki, 4 szparagi, ½ grapefruit, razowy sucharek, herbata.

8. dzień. W południe: ½ grapefruit, 2 jajka, główka sałaty, 2 pomidory, kawa. Wieczór: 2 małe kotleciki baranie, ogórek, pomidor, główka sałaty, ½ grapefruit, herbata lub kawa.

9. dzień. W południe: jajko, pomidor, ½ grapefruit, herbata. Wieczór: jakakolwiek odmiana mięsnej sałatki.

10. dzień. W południe: ½ grapefruit, barani kotlet, główka sałaty, herbata. Wieczór: dokładnie to samo.

11. dzień. W południe: toast (cienkie kromeczki chleba zrumienione po obu stronach, podane na ciepło), herbata. Wieczór: seler, gotowane mięso, pomidor, herbata.

12. dzień. W południe: gotowana ryba morska, grapefruit, kawa. Wieczór: kotlet duszony, sałata z kapusty, pomidor, 2 pomarańcze.

13. dzień. W południe: 1 jajko, sucharek razowy, grapefruit. Wieczór: gotowane mięso, główka sałaty, seler, grapefruit, kawa.

14. dzień. W południe: jajko, razowy sucharek, grapefruit, kawa. Wieczór: gotowane mięso, pomidor, grapefruit, kawa.

15. dzień. W południe: jajko, pomidor, grapefruit, razowy sucharek. Wieczór: 2 kotlety, razowy sucharek, grapefruit.

16. dzień. W południe: jajko, pomidor, grapefruit, kawa. Wieczór: gotowane mięso, szpinak bez zaprażki, pomarańcza.

17. dzień. W południe: kotlet, główka sałaty, grapefruit. Wieczór: gotowane mięso, seler, pomidor.

18. dzień. W południe: jajko, pomidor, ½ grapefruit, kawa. Wieczór: gotowana ryba, szpinak bez zaprażki, ½ grapefruit.

Na zakończenie serji artykułów o sylwetce i kwestjach dietetycznych proszę najusilniej te moje Czytelniczki, których waga nieco przekracza 46 kg, by wierzyły, że nie mam nikogo specjalnie na myśli, a tylko wogóle ludzi tęższych ponad miarę prawidłową.

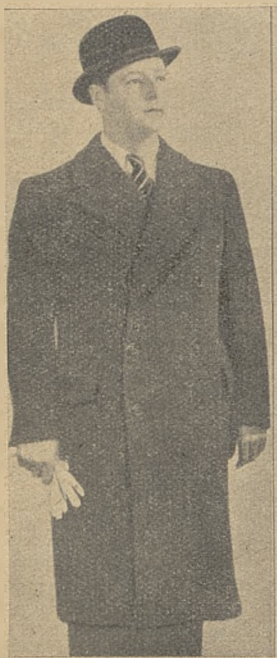
Cokolwiekbądź chcielibyśmy powiedzieć na korzyść lub niekorzyść szczupłej sylwetki, powinno mieć na celu p r z e d e w s z y s t k i e m z d r o w i e.

Przesadna szczupłość, tak jak i przesadna tusza nie może zdrowiu sprzyjać w żadnych warunkach i dlatego strzeżmy się przed krańcowościami.

Pamiętajmy o tem, że jednostki sztucznie obchudzone popadają w różne choroby, a specjalnie system nerwowy bywa zwykle poważnie zaatakowany. Wielu osobom zbytnia szczupłość poprostu nie służy, odczuwają stale rozmaite dolegliwości, mają nierówne usposobienie i są nadmiernie pobudliwi. Ostrożnie zatem! EFEB

COŚNIECOŚ DLA PANÓW

PO DŁUŻSZEJ PRZERWIE w artykułach, trochę informacyj sezonowych dobrze panom zrobi — prawda?



Ryc. 1



Ryc. 2

Zacznijmy od płaszczy. Ponieważ nietylko powinniśmy, ale nawet zmuszeni jesteśmy oszczędzać i ukrócać do minimum swoje wydatki na garderobę, mowy więc być nie może o sprawianiu kilku lub chociażby dwóch płaszczy zimowych. Pozostaje nam kupno jednego. Tu więc wyłania się ważna sprawa wyboru fasonu i koloru materjału, to jest modelu, któryby był odpowiedni do każdego z ubrań od marynarkowego począwszy do wieczorowego włącznie.

Z wielu odmian płaszczy jak: ulster, palto, raglan, Chesterfield, każda ma szczegóły wyłączające noszenie do wszystkiego. A nam właśnie trzeba czegoś „uniwersalnego".

Rolę tę spełnia doskonale kombinacja ulstra z paltem (ryc. 1). Model ten może służyć we wszystkich okolicznościach w ciągu całego dnia. Pozbawiony wybitnych cech ulstra, bez paska lub dragonika, bez nakładanych kieszeni i stebnów, o kroju wygodnym, z zapięciem dwurzędowem, zachowuje wytworną linję palta, i właśnie przez połączenie tych dodatnich cech obu okryć daje idealny typ uniwersalnego płaszcza. Doskonałość jego zależna jest jeszcze od dwóch szczegółów:



Ryc. 3



Ryc. 4

od rodzaju materjału,

od koloru, który musi godzić się z wszystkiemi ubraniami naszej garderoby.

Materjał nie może być w stylu sportowym, ani jasny, lecz ciemny i gładki. Z kolorów, godzących się łatwo z innemi, należy wymienić na pierwszem miejscu ciemny granat, który dobrze harmonizuje z rozmaitemi kolorami codziennych ubrań, a więc np. z popielatym lub bronzowym. Tem bardziej, jeśli odcień kapelusza dobraliśmy do ubrania.

Obowiązek sprawozdawcy nakazuje, bodaj pobieżnie, omówić inne typy płaszczy.

Ryc. 2 — wytworne palto spacerowe. Wyłogi zacięte w linji poziomej, kieszeń na piersiach po lewej stronie, zapięcie kryte. Materjał ciemny, w delikatne prążki.

Ryc. 3 — Chesterfield z popielatego tweedu, z krytem zapięciem. Miękko opadające wyłogi łagodzą surowy zazwyczaj wygląd tych fasonów, a aksamitny kołnierz nadaje pewnej dystynkcji okryciu.

Ryc. 4 — przedstawia klasyczny dwurzędowy ulster z bronzowego homespun'u, z szerokim kołnierzem i wyłogami, z mankietami, ale z kieszeniami zacinanemi.

Krój miejskich futer nie ulega zmianom od kilku lat. Ciemne lub czarne wierzchy, praktyczne podszycia z trwałych futer, zapięcia dwurzędowe, kołnierze z selskinów, baranków perskich, z wydry, bobrów.

Po płaszczach najważniejszą kwestją są ubrania marynarkowe.

I tu krój nie zmienił się, a tylko pewne urozmaicenie wnoszą materjały, ich wzory i barwy. Każdy sezon wybiera jakiś kolor jako dominujący. Obecnie mamy kolor popielaty w różnorodnych odcieniach, a między niemi zadymiony i mglisty jako ostatni wyraz mody.

Ale oprócz popielatego przychodzą do głosu i zdetronizowane faworyty minionych sezonów, t. j. przedewszystkiem bronzowy w odcieniu brunatnym, a następnie ciemno-granatowy. Kolor zielony t. zw. butelkowy i soczysta ciemna zieleń usiłuje zwalczać pewne do niej uprzedzenia. Podobno niebardzo jest ten kolor praktyczny — podobno rzadko któremu z panów jest do twarzy. Zdaje się, że ten drugi zarzut gra większą rolę od pierwszego. Zresztą dziwić się temu nie można, jeżeli ktoś chce wyglądać korzystnie.



Ryc. 5

Ryc. 5 — przedstawia próbki deseni materjałów przeznaczonych na marynarkowe ubrania.

Fasony tych ubrań jedno- lub dwurzędowe, jak zwykle zresztą. Przy jednorzędowych dwurzędowa kamizelka — przy dwurzędowych jednorzędowa. Modele dwurzędowe uważane są za cieplejsze i dlatego w zimie częściej wybierane. Wyłogi zacięte w linji poziomej, albo lekko wdół opadającej, ostro zakończone lub zaokrąglone.

Krawaty są w barwach soczystych, ale spokojnych. Dużo urozmaicenia w deseniach jedwabi; paski, kropki, kółeczka, kraty, wzory geometryczne, szkockie. Wielka staranność w zharmonizowaniu deseni z tłem jedwabiu.

GENTLEMAN

PLOTECZKI O MODZIE

MODNE szczególiki na sezon zimowy 1931-1932 — zdradzają, mimo wszelkich pozorów rozrzutności, dążenia do pomysłów oszczędnych i praktycznych. Oddzielnie noszone kołnierze i krawaty futrzane mogą służyć nietylko do jednego płaszcza lub kostjumu, lecz do każdej sukni lub okrycia sezonowego. Do odświeżania sukien mamy nieprzeliczoną ilość pomysłów. Np.



Monotonję czarnej sukni wieczorowej — ożywiamy jednym z następujących trzech kolorów: czerwonym w odcieniu fuksji, zielonym „grenouille", niebieskim „bleu gendarme". I to w takiej kombinacji: pantofelki, rękawiczki, motyw przy pasku w jednym z powyższych kolorów. Wełniane natomiast suknie odświeży doskonale kolorowa kamizelka, lub króciutki barwny żakiecik. Przy wizytowych sukniach żakieciki w odmiennym kolorze spełniają również wdzięczne zadanie.

Przydłużanie sukien i okryć z ubiegłych sezonów — nie jest tak trudne. Trzeba tylko umieć obserwować modele w żurnalach i przestudjować różne kapryśne linje zacięć lub plis. Otóż pasy materjału służące do przydłużeń nie powinny być proste, lecz zacięte dyskretnie łukowato, w szpic, w zęby. Równo wstawiony pas psuje linję i nadaje sukni lub okryciu coś niezgrabnego, ciężkiego.

Ponieważ charakterystyczną cechą obecnej mody — jest męska sylwetka, t. zn. szerokie ramiona, biodra wąskie, a rodzaj przybrań wybitnie kobiecy, więc znowu mamy ułatwienia w przeróbkach. Wystarczy starą suknię przydłużyć nieco, dodać odpowiednie przybranie, miękki kołnierz, przodzik, wolant, mankiety, pasek, kokardka i w ten sposób uzyskamy dzisiejszy model.

Żakiecik oddzielny — to jest nie tworzący jednolitej całości ze spódniczką, może być noszony do kilku sukien. Z grubej wełny, przybrany futrem, albo też cały z futra, krótki, z paskiem, robi wrażenie młodociane, dużo lżejsze od całego płaszcza futrzanego. Dobrze wygląda przy sukni codziennej i przy popołudniowej; uważać tylko trzeba, by krój żakieta nie był wybitnie sportowy, albo fantazyjny, gdyż pierwszy nie nadawałby się do sukni popołudniowej, drugi do codziennej.

Suknie codzienne — a zatem te, które są nam najpotrzebniejsze, przedstawiają linję prostą, ale nie za wąską, t. j. nie krępują ruchów. Wstawiane poniżej bioder fałdy, albo bardzo skąpe części kloszowe, służą do poszerzeń dołem. Krój mniej skomplikowany, mniej zacięć aniżeli w poprzednich sezonach. Natomiast wąziutkie zakładeczki umiejętnie układane działają jako motywy dekoratywne. Mniej garniturów „lingerie" i aplikowań materjałów. Pas utrzymuje się w naturalnem miejscu i bywa zaznaczany albo paskiem, albo zdrapowaniem materjału w pasie. Najciekawszemi szczegółami są: kołnierz, mankiety, pasek — i koło nich też skupia się cała pomysłowość. Rozmaitość fasonów kołnierzy jest nieprzebrana, a cechuje je jeden wspólny szczegół, mianowicie tendencja do odsłaniania karku.

Wełny zimowe — są jednokolorowe i wnoszą różne nowości w sposobach tkania. Wełna rzadko kiedy jest czysta, lecz ma różne domieszki. W pierwszym rzędzie prawdziwy jedwab, który nadaje materjałom dyskretną połyskliwość i miękkość, oraz misterne desenie w samej osnowie. Pozatem wmieszane bywają do tkania najmniej oczekiwane dodatki, a to: sierść psa, lisa, królika, puch łabędzi a nawet poszczególne nitki piór strusich. Wszystko to składa się na aksamitną gładkość materjału w dotyku i niezwykłą miękkość. Inne znów gatunki wełny są przeciwnie szorstkie w dotyku, pełne węzełków, wystających włosków, punkcików. Jersey wełniany często w kratkę barwną o różnej wielkości, w drobny deseń; a najmodniejszy pomysł: na tle gładkiem lub chiné drukowany wzór. Wełna ażurowa jest ciekawem zjawiskiem; matowa, przejrzysta, w deseń kwiatowy, robi wrażenie koronki. Służy na modele sukien popołudniowych i wieczorowych. Z kolorów na pierwszym planie bronzowy w rozległej gamie odcieni od najciemniejszego brunatnego do jasno-rudego; wszystkie bronzowe kolory, t. zw. ciepłe, są modne. Następnie kolory czerwone z przymieszką żółtego; i tu znowu od najciemniejszych do najjaśniejszych odcieni. Są to obecnie dwa najwięcej wzięte w Paryżu kolory; z innych zanotować wypada zielony ciemny, niebieski, fiołkowy, czarny, biały.

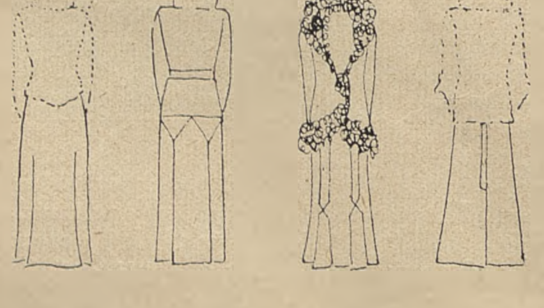


Moda okazuje nam dwa oblicza — jedno spokojne, zrównoważone, liczące się z potrzebami epoki, z celowością stroju dostosowanego do warunków życia codziennego, do pracy — i drugie rozbawione, płoche, nieobliczalne, rozmiłowane w przeładowaniu stroju tysiącem szczegółików. Znajduje tu zastosowanie wszystko, co się kłóci z logiką, z celowością, wszystko śmieszne, niepotrzebne i zupełnie nie z naszych czasów. Dużo z tych nadzwyczajnych, nowych pomysłów (żywcem skopjowanych z rozmaitych epok, w których może nie tak raziły jak dzisiaj) psuje sylwetkę, postarza wygląd. Wierzmy zatem, że się nie utrzymają rozmaite pomysły, jak np. ztyłu obficie udrapowane i podpięte suknie, albo toalety naśladujące rok 1860, t. j. małe krynolinki pod sukniami z tiulu lub z koronki, do tego malutkie kapeluszyki, króciutkie okrywki i płaszczyki bramowane futrem. Kosztowność i brzydota tych modeli odstraszy każdą kobietę, która potrafi krytycznemi oczyma spoglądać na pomysły mody.



CAILLER-SOBAŃSKA





FUTRZANE ŻAKIECIKI

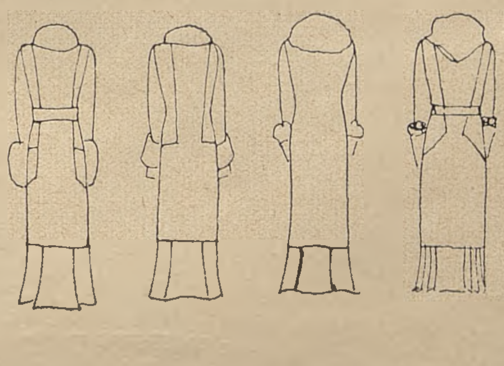
140 Żakiet selskinowy z kołnierzem związanym na kokardę. Guziki obwleczone futrem i zgrabny zarękawek do garnituru.

141 Żakiet i zarękawek z popielic. Kołnierz przewinięty jak szalik, pasek zamszowy.

142 Kostjum z miękkiej, orzechowej wełny; żakiet przybrany karakułami i guziczkami. Spódniczka pięknie wystebnowana, a dołem dokoła wstawiane kontrafałdy.

143 Biały żakiet z królików lub gronostajów ze stojącym kołnierzem.



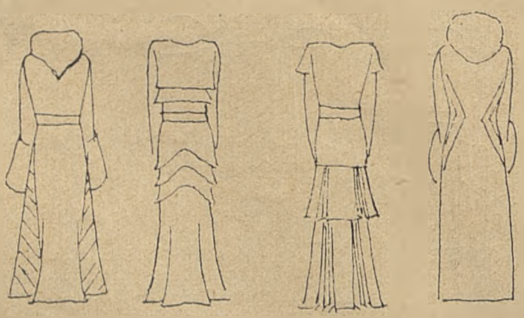


ZIMOWE KOMPLETY Z KRAJOWYCH MATERJAŁÓW

144 Komplet z ciemno-zielonej wełny, przybrany puszystem futrem i guzikami.
145 Komplet z ciepłej wełny beige; mankiety i nowocześnie zakrojony kołnierz z selskinu.
146 Komplet kombinowany: czarny płaszcz, bluzeczka biała z czarnemi guzikami, spódniczka w kratkę popielato-czarną. Kołnierz i mankiety z astrachanu.
147 Komplet z grubej wełny bronzowej, przybrany karakułami.

PŁASZCZE I SUKNIE POPOŁUDNIOWE Z KRAJOWYCH MATERJAŁÓW





148 Strojny płaszcz z czarnego sukienka, przybrany płaskiem, fantazyjnem futrem. Boki płaszcza zgrabnie wyzakładkowane.

149 Suknia z wełnianej czarnej żorżety, ozdobiona bolerkiem, plisami, zakładkami. Jasne fantazyjne guziki.

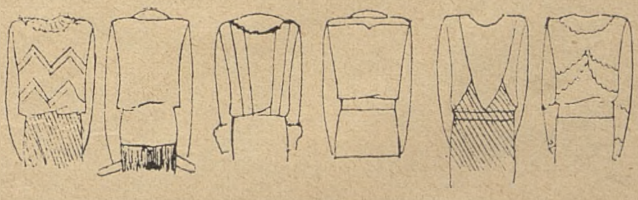
150 Suknia z crêpe satin w granatowym kolorze. Żabotowy przód z białej żorżety. Na spódniczce plisowane części poniżej bioder i dołem.

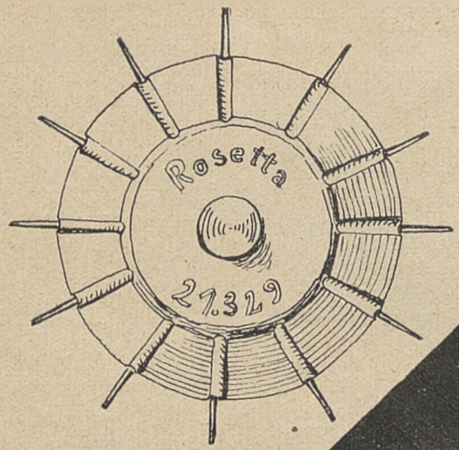
151 Oryginalny płaszcz z czarnego aksamitu, przybrany czarnemi i popielatemi karakułami.

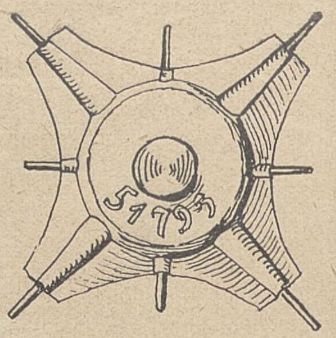


152—153—154 Bluzki przedpołudniowe z cienkiej wełny lub z jedwabiu do prania, zdobione mereżkami i walansjenkami.

155—156—157 Bluzki popołudniowe; 155 — koronkowa bluzka złączona w całości ze spódniczką; 156 — bluzka z krepy chińskiej, kołnierz wydłużony w żabot z koronki plisowanej, zakładki; 157 — biała bluzka z crêpe satin, przybrana koronką beige.

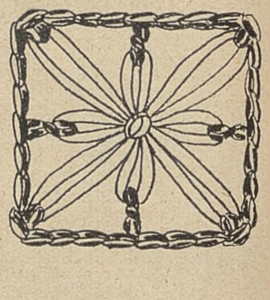


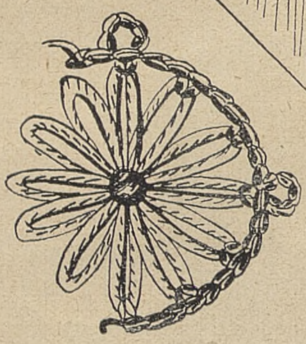


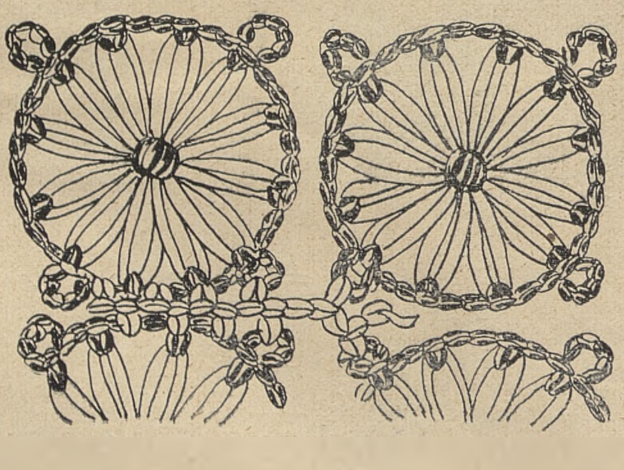










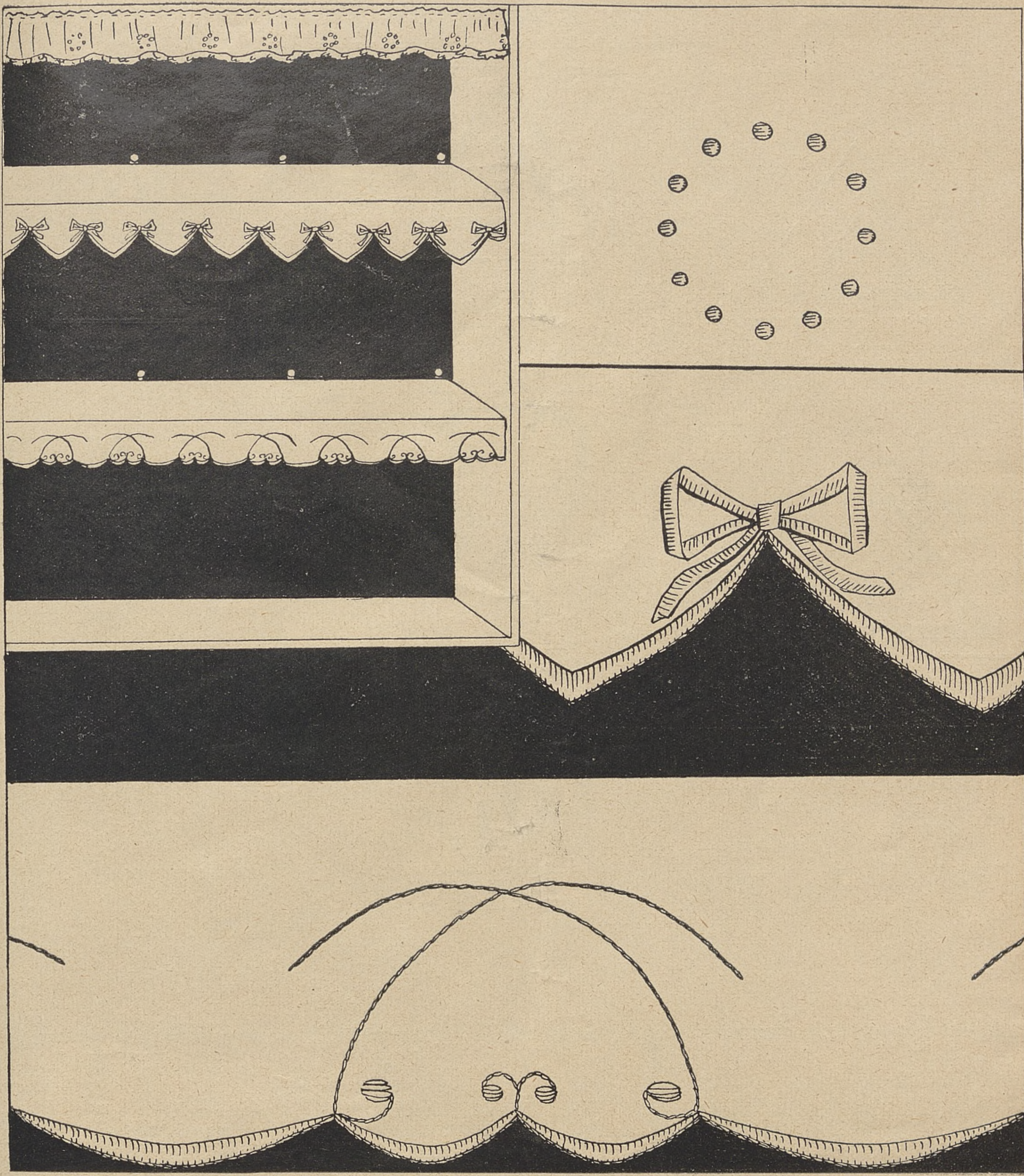


ROBOTY RĘCZNE

Ryc. 51. — NOWY APARACIK DO ROBÓT RĘCZNYCH

Przyrząd, ułatwiający roboty z włóczki, lacetu, jedwabiu i sznelki, był bardzo pożądany, to też donosimy Czytelniczkom o tem, że w handlu dostać można dwa rodzaje aparacików z opisem. Wykonywaj się na nich rozety, albo kwadraciki przez proste nawijanie nitki, którą spaja się kilku ściegami w środku. Igiełki, na które nawija się nitkę, są ruchome i dają się cofnąć obrotem śrubki, przyczem rozetka odrazu daje się zdjąć. Za godzinę można zrobić 50 — 70 rozetek. Każdą gwiazdkę obrabia się szydełkiem w sposób pokazany rysunkiem, przyczem robi się na rogach pikoty, które ułatwiają późniejsze łączenie. Jak widać na rysunku, robi się ścisłe oczka w kluczki, a pomiędzy niemi po 2 oczka w powietrzu, na pikoty zaś po 5 oczek w powietrzu. Łączymy znowu ścisłemi oczkami, kłując naprzemian w kluczki gwiazdek, które mamy łączyć.

Pięknie występuje robota, jeśli używamy kilku kolorów. Można również kombinować motywy z innym ściegiem szydełkowym, jak to widać na czapeczce i na sukience. Motywy układamy podług formy z papieru. Aparacik dostać można w sklepach z przyborami do robót ręcznych. Cena zł. 2. — Główny skład: Teodor Arbt, Poznań, Przemysłowa 29.



Ryc. 52, 53 i 54. — TRZY SZLAKI DO SZAFY NA BIELIZNĘ

Najpraktyczniej jest wysłać półki płótnem zakończonem szlakiem, jak to widać na rysunku, bo łatwo utrzymać w ten sposób czystość w szafie. Podajemy 3 łatwe szlaki, wykonane kolorowo albo białą bawełną. Pierwszy, to falbanka obszyta koronką i haftowana w wianuszki, drugi zakończony w zęby, a trzeci posiada zęby i delikatny haft.

Jeśli wykonamy szlaki kolorowo, to najlepiej dobrać bawełnę w tonie wstążek, któremi wiążemy bieliznę.

MODNE MONOGRAMY

wykonane atłaskiem, cienkie linje ściegiem wodnym



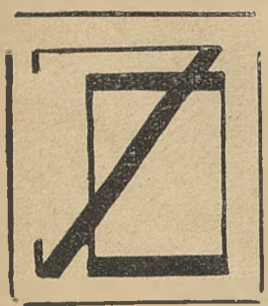
L. A.



P. E.



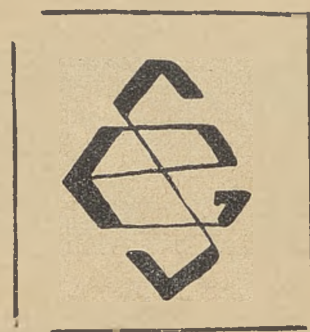
A. M.



I. O.



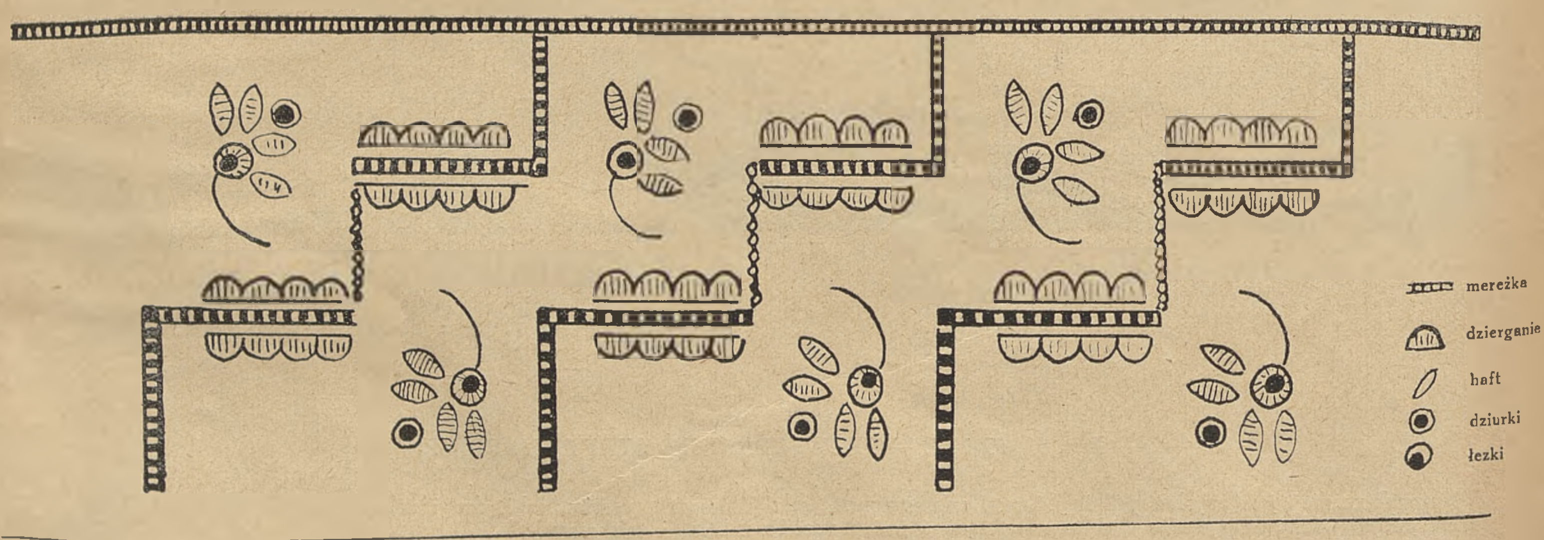
C. B.



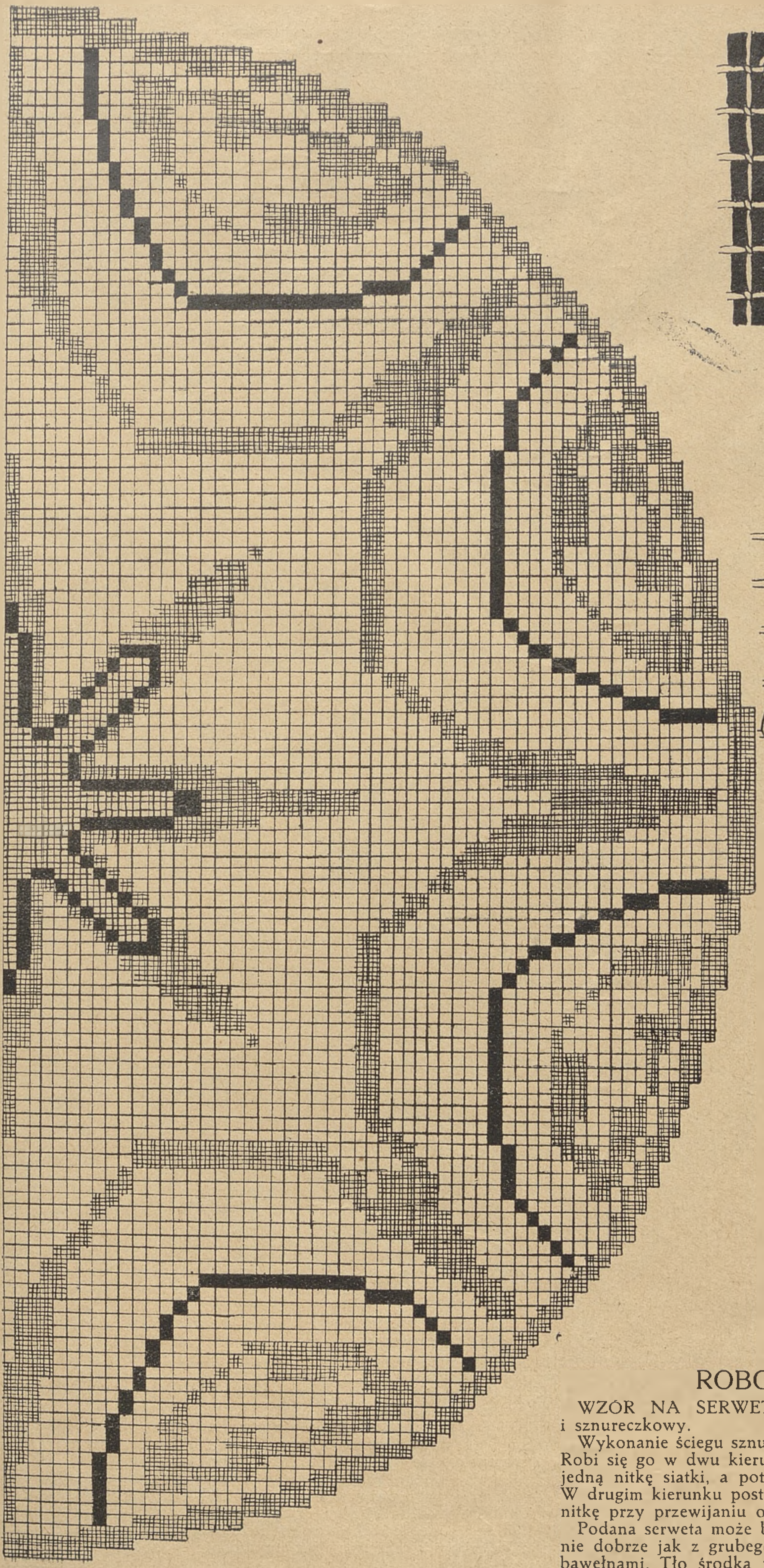
S. G.

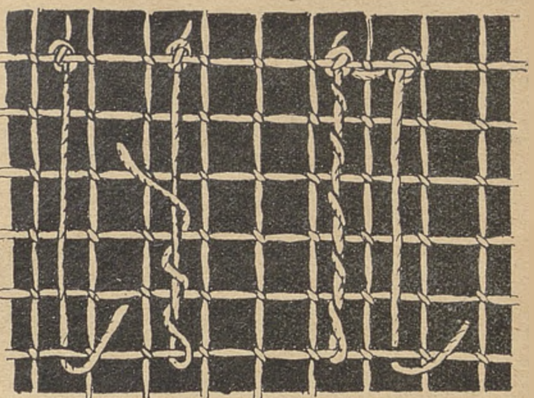


O. T.

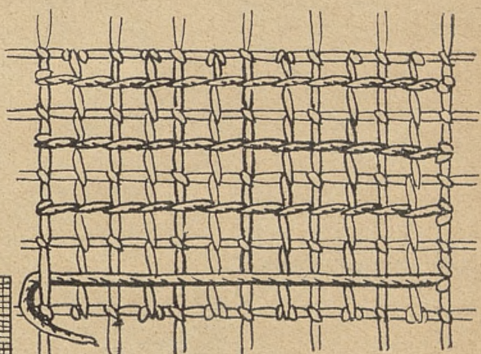


Ryc. 55. — Szlak do zdobienia bielizny, wykonany następującemi ściegami: dzierganie, haft, łezki, dziurki, mereżki.





54.



55

ROBOTY SIATKOWE

WZÓR NA SERWETĘ. Ściegi: płócienny, gęste cerowanie i sznureczkowy.

Wykonanie ściegu sznureczkowego przedstawiają rysunki 54 i 55. Robi się go w dwu kierunkach, przewlekając najpierw nitkę przez jedną nitkę siatki, a potem owijając ją wokoło naprężonej nitki. W drugim kierunku postępuje się tak samo, przyczem zaczepia się nitkę przy przewijaniu o poprzedni rząd.

Podana serweta może być wykonana z cienkiego materjału, równie dobrze jak z grubego. Można ją również wyszyć kolorowemi bawełnami. Tło środka wyszyte ściegiem sznureczkowym.

Z. KULCZYCKA

KURS TRYKOTARSTWA SZYDEŁKOWEGO

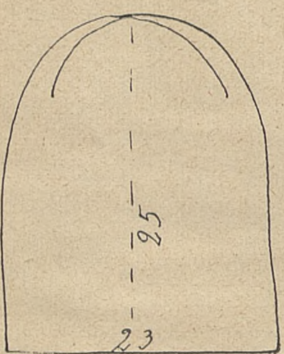


















CZAPKI TRYKOTOWE

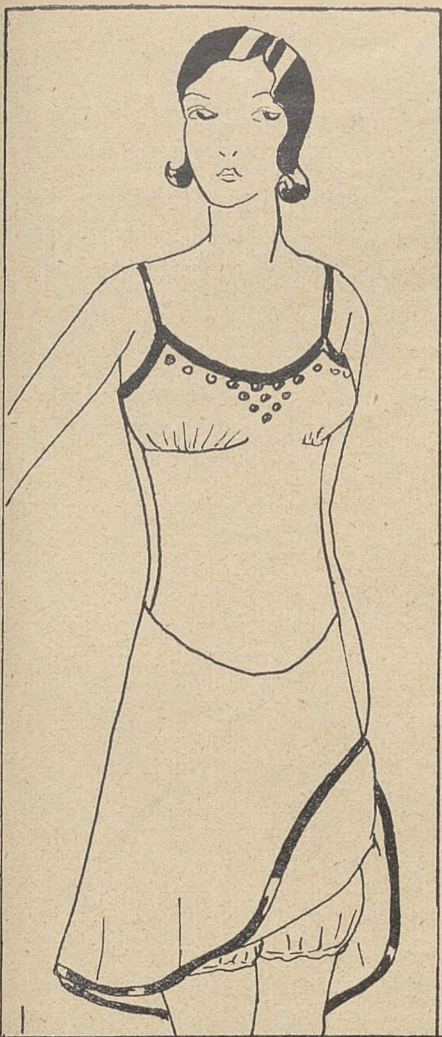
Bardzo praktyczna i ekonomiczna moda czapeczek trykotowych pozwala na to, żeby mieć stosowne okrycie głowy do każdego płaszcza lub kostjumu. Czapeczki te wykonywamy z włóczki, jedwabiu, albo ze sznelki, w jednym kolorze lub w kilku. Możemy je robić na drutach, albo szydełkiem. Czapeczki rys. 1 i 2 mają kształt woreczka, którego wymiary podajemy pod niemi. Robiąc na drutach, zaczynamy od dolnego brzegu a zakończymy odejmowaniem jak przy pończosze. Szydełkiem zaś zaczynamy od środka trzema oczkami w powietrzu, w które wrabiamy 6 ścisłych oczek. W następnych rzędach dodajemy stopniowo zawsze w tych samych miejscach, aż uzyskamy krążek o średnicy 15 cm, poczem dodajemy mniej, a nakoniec szydełkujemy bez dodawania, aż czapeczka osiągnie pożądaną długość. Brzeg możemy zakończyć jakimś ściegiem ażurowym, jak na czapeczce na ryc. 1, albo zawijamy na wałeczek, jak czapeczkę na ryc. 2. Ta ostatnia lepiej się zwija, jeśli jest robiona na drutach.

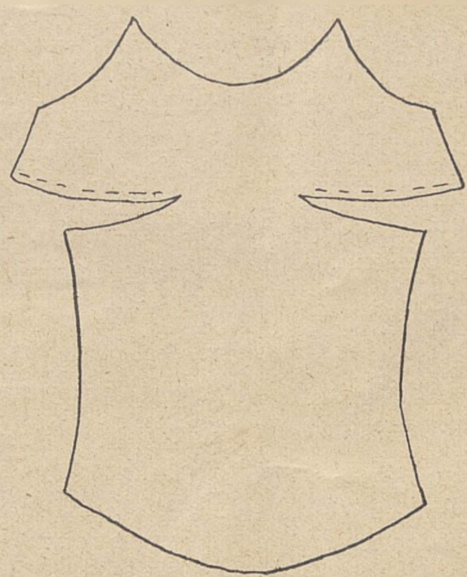
Berecik (ryc. 3) zrobiony szydełkiem z włóczki. Zaczyna się jak zwykle od środka, kółkiem z oczek w powietrzu i dodaje się aż krążek osiągnie 18 cm średnicy. Następnie robi się ścisłe oczka bez dodawania, a nakoniec ściąga się czapeczkę szydełkując ściślej i przewlekając sznurek z gumki.

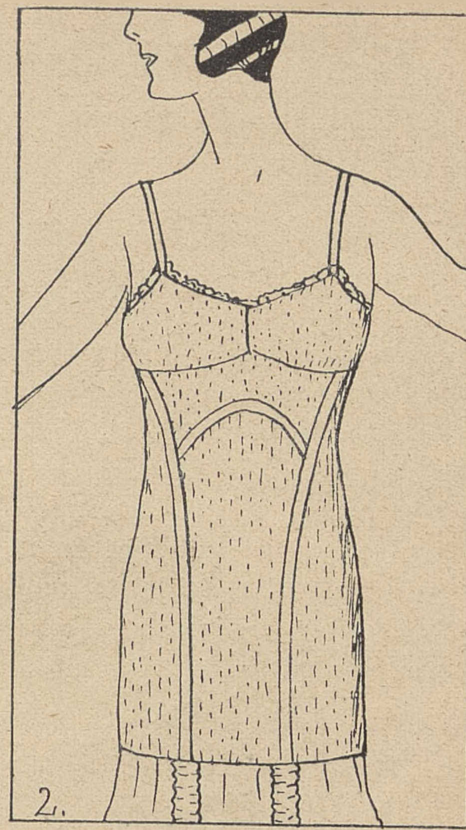
Oryginalna jest czapeczka z ryc. 4. Składa się z płytkiej czapeczki i szalika do niej przyszytego. Czapeczka ma 7½ cm długości, mierząc od środka i jest ściśle dostosowana do kształtu głowy. Szalik, długości 130 cm a szerokości 6 cm, jest wokoło przyszyty, jego zaś luźne końce są przewleczone przez pozostawiony otwór z prawej strony, po skrzyżowaniu z lewej strony. Wzór szalika może być dostosowany do materjału płaszcza albo kostjumu. Obecnie bardzo modne ukośne paski, możemy więc takiemi przybrać czapeczkę. Sposób robienia wzorów na drutach i szydełkiem przedstawiony był w dawniejszych zeszytach „Świata Kobiecego".

Wzór czapeczek można urozmaicić słupkami nawijanemi, których wykonania uczyliśmy już poprzednio; próbkę podajemy powyżej.

Z. KULCZYCKA







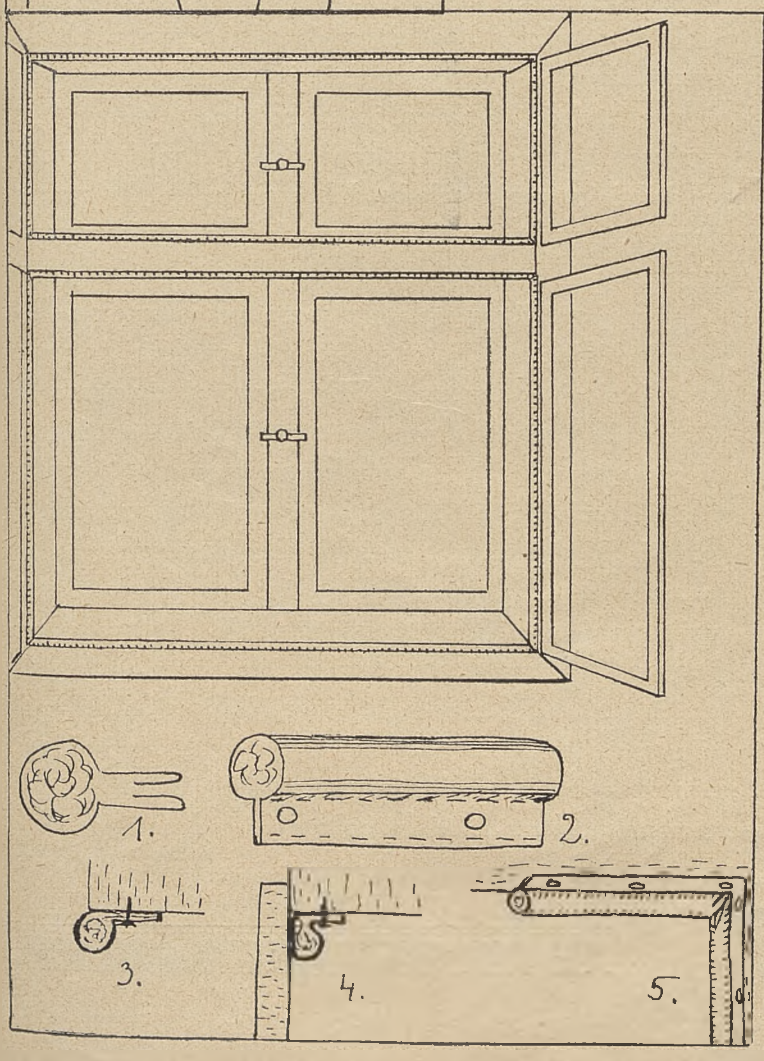
KĄCIK PRAKTYCZNY

MODNA KOMBINACJA

Bardzo korzystna dla tęższych pań jest kombinacja przylegająca do ciała. Podajemy model, który zapina się zboku kryto pod listeweczką. Pod nią nosi się majteczki, albo t. zw. figę. Wykończenie kolorowemi listewkami jest bardzo praktyczne i trwałe. Krój, którego dostarczamy na żądanie, musi być dokładnie wypróbowany na każdą figurę, przyczem nie należy zapomnieć o dodaniu na szwy i na zbiegnięcie się.

CORSELETTE DLA TĘŻSZYCH PAŃ

Uszyta bez gumy, tylko z materjału trykotowego, obciska figurę i wysmukla ją, nie gniotąc. Zapina się zboku pod listewką. Szwy kryją się również pod listewkami z mocnego materjału. Podwiązki przyszyte w odpowiednich miejscach zapobiegają podnoszeniu się futeralika. Rzecz jasna, że i ten krój trzeba dostosować do figury, gdyż kształty są tak rozmaite, że nie można dać kroju stosownego dla wszystkich.



ZAOPATRZENIE OKIEN I DRZWI NA ZIMĘ

Powinniśmy oszczędzać na opale i izolować okna i drzwi w sposób, pozwalający na wietrzenie, gdyż kitowanie okien jest chyba już przeżytkiem z czasów, kiedy nie znano wartości świeżego powietrza. Wałki, jakie dotychczas sprzedawano na ten cel, nie były o tyle praktyczne, że przy przybijaniu powstawały wgłębienia, dające powietrzu przystęp, a więc powodujące przewiew. Nowe wałki są inaczej wykonane, posiadają mianowicie listewkę służącą do przybijania, ob. rysunki. Wałeczki te przybija się we wnętrzu futryny okna czy drzwi, blisko kraju, tak że okno wzgl. drzwi przystają ściśle, ale ich nie przyciskają. Ryc. 3 przedstawia przybity wałek, ryc. 4 pokazuje ten sam wałek przy zamkniętem oknie. Ryc. 5 zaś uwidocznia sposób, w jaki przybija się wałek do futryny. Wałeczki tego rodzaju można sobie sporządzić własnoręcznie z płótna i wypełnić watą, albo kilku nitkami grubej bawełny. Gotowe wałki są o tyle lepsze, że sporządza się je z materjału nieprzemakalnego i dodaje do nich gwoździki emaljowane białe albo bronzowe.

Z. KULCZYCKA

ZNACZENIE ZDROWOTNE BALKONÓW I WERAND*

WOBEC zachęty do wymiany myśli w dziedzinie spraw mieszkaniowych, zawartej w doskonałym artykule p. Bonkowicz-Sittauera w Nr. 1 O. G. D. 1931 r., wydaje mi się wskazane podkreślić postulat prawie nigdy nie omawiany w coraz częstszych dyskusjach na temat mieszkań, a uwzględniany niedostatecznie w nowopowstających domach: budowę balkonów, werand, tarasów i wszelkich tego rodzaju urządzeń, które — ułatwiając mieszkańcom spędzenie każdej chwili wolnej na świeżem powietrzu i wykonywanie na dworze części swych prac — byłyby dla domów prawdziwemi płucami, w najwyższej mierze przyczyniającemi się do podniesienia zdrowotności mieszkańców.

Techniczne rozwiązanie tej kwestji nie należy do zakresu moich kompetencyj; projekty różnić się będą oczywiście między sobą; zasadniczem tylko wymaganiem

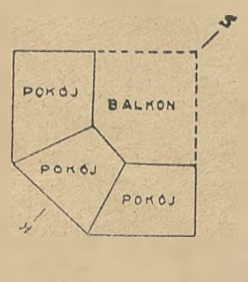


Fig. 1. Plan mieszkania z balkonem architekta B. Taut



Fig. 2. Plan kuchni z balkonem, zaopatrzonym w śpiżarnię i przechowalnię

z punktu widzenia higjeny jest przewidzenie, o ile możności w projekcie każdego mieszkania, szczególniej mieszkania w mieście, pozbawionego ogrodu, takiej sposobności odetchnięcia, choćby to podwyższało nieco koszty budowy. Jak słusznie podkreśla higjenista niemiecki prof. Grotjahn, nawet gdy mieszkanie wychodzi na zakurzoną ulicę, powietrze najduszniejsze miejskiego podwórka jest korzystniejsze niż powietrze wewnątrz pokoju. Umiejętnie pielęgnowanem dzikiem winem lub inną rośliną pnącą można balkon do pewnego stopnia przed kurzem osłonić. Balkon powinien być wystawiony na słońce, by nawet w chłodniejsze dni był dostępny. Od zbyt silnego rozgrzania latem chroni go najlepiej płócienna markiza. Weranda z dachem ma tę dobrą stronę, że i w dni dżdżyste może być użytą; ściany oszklone natomiast zabierają zbyt wiele powietrza. W wysokich domach miłe są i ładne wrażenie robią balkony, na których rogach umieszczono dwie kolumny, stanowiące podporę balkonu piętra następnego, będącego zarazem dachem balkonu niższego. Idealny rozmiar takiego balkonu wynosiłby 2 m × 3 m. Gdy tylko polski klimat na to pozwala, balkon taki powinien zastępować do pewnego stopnia pokój mieszkalny, pozwalając dużą część życia przenieść na dwór. Ale nawet mniejszy balkon, 1 ½ m × 2 m, oddaje usługi ogromne, gdyż można tu przenosić kojec lub łóżeczko dziecka, przychodzić na przeczytanie gazety, drzemkę poobiednią, cerowanie.

Fig. 1 przedstawia plan piętra domu arch. B. Taut w Berlinie. Jak widzimy, wielka część powierzchni tego piętra jest zajęta tarasem, od wczesnego ranka do wieczora oświetlonego słońcem i zasłoniętego zupełnie od wiatrów północnych. Nad częścią balkonu umieszczono dach bardzo wysoki ze specjalnych pryzmatycznych tafli szklanych.

Poza tym balkonem mieszkaniowym, niezmiernie pożytecznym bywa w domu balkon gospodarczy. Miejsce jego jest w pobliżu kuchni, co latem pozwala kucharce część prac przygotowawczych wykonywać na dworze. Wyobrażam sobie w małych mieszkankach możliwość łatwego wykonania jako ściany boczne tego balkonu dwóch maleńkich pomieszczeń, z których jedno zawierałoby lodówkę, a nad nią ewentualnie parę półek na zapasy, drugie — przechowalnię jarzyn i owoców. Ponieważ kuchnia, a zatem i ten balkon, powinny być zwrócone na północ, zatem zapasy znajdowałyby tu odpowiednie warunki chłodu. Ubikacje te byłyby murowane, zaopatrzone w dobrą wentylację i solidne drzwi. Fig. 2.

Przy tej okazji pragnęłabym zaznaczyć jeszcze ogromną rolę higjeniczną, jaką spełniałyby szerokie balkony wzdłuż całych budynków szkolnych w rodzaju prostych i tanim kosztem budowanych krużganków. Spędzanie na nich pauz byłoby o tyle zdrowsze niż na korytarzach. Krużganki te oddzielone przegrodami przyczyniłyby się do spopularyzowania tak bardzo ważnej i w tylu szkołach zachodniej Europy już urzeczywistnionej idei przenoszenia części lekcyj na dwór.

Sprawa balkonów, powtarzam, jest w miastach jednem z bardzo poważnych zagadnień higjenicznych. Zrealizowanie jej ochroniłoby wielu obywateli od bliższej, a przykrej znajomości z jedynemi instytucjami, zaopatrzonemi już dziś obficie w balkony — z sanatorjami.

TERESA SKORZEWSKA

* Przedruk z czasopisma „Organizacja Gospodarstwa Domowego", Nr 8—9, 1931.

DOBRA GOSPODYNI

popiera wyroby krajowe

RYBA Z SARDELKAMI. — Oczyścić szczupaka, albo sandacza, posolić i pokropić sokiem cytrynowym. Stronę wierzchnią zaciąć kilkakrotnie poprzecznie, zacięcia zaś nadziać posiekanemi sardelkami, poprzednio wymoczonemi. Rybę przygotowaną w ten sposób włożyć do brytwanny z masłem i smażyć w rurze. Przed dokończeniem posypać suto tartym serem szwajcarskim. Do sosu dodać jeszcze posiekanych sardelków. Podać z duszonemi albo smażonemi kartoflami.

SIEKANA PIECZEŃ Z DZICZYZNY. — Sarniny albo mięsa jelenia bez kości ½ kg zemleć na maszynce wraz z 17 dkg wieprzowiny, 2 sardelkami, cebulą, dwiema namoczonemi i wyciśniętemi bułkami i łyżką kaparków. Dodać 1 jajko, soli, pieprzu i 2 rozduszone ziarnka jałowca i uformować podłużną pieczeń. Stopić masło ze smalcem i upiec pieczeń ze wszystkich stron, polewając sosem, żeby nie wyschła. Sos zaprawić śmietaną z odrobiną mąki i powidełkiem pomidorowem.

karon, odcedzić i wymieszać z masłem. Na środku półmiska ułożyć marchewkę, wokoło makaron, całość zaś przybrać różyczkami kalafjora i polać masłem ze zrumienioną bułeczką.

DOSKONAŁY TORT CHLEBOWY, bardzo wykwintny. — Utrzeć 10 żółtek z ¼ kg cukru. Dodać stopniowo ½ łyżeczki cynamonu, odrobinę goździków, 12 dkg tartych orzechów, 5 dkg czekolady i 15 dkg zrumienionego chleba razowego. Nakoniec wmieszać pianę z 10 białek. Gdy tort upieczony i ostudzony, przełożyć warstwą galaretki porzeczkowej i warstwą masy migdałowej z 12 dkg tartych słodkich migdałów oraz 2 dkg gorzkich z 15 dkg mączki cukrowej. Powlec polewą czekoladową i przybrać połówkami migdałów.

ZIMNY BUDYŃ Z GŁOGU. — Oczyścić z ziarnek i włosków i starannie wymyć ½ kg głogu, zalać wodą do przykrycia i ugotować na miękko, poczem przetrzeć przez sito. Masa powinna być dość rzadka. Zasypać ją grysikiem pszennym, biorąc ¼ l na litr masy i dać wypęcznieć na kraju blachy, dodać cukru do smaku, 3 tarte gorzkie migdały, oraz łyżeczkę masła i włożyć do formy budyniowej wypłókanej zimną wodą. Gdy zastygnie, wyrzucić na półmisek i podać z sosem waniljowym.

BUDYŃ Z GRUSZEK. — Namoczyć 35 dkg czerstwych bułek w wodzie, następnie wycisnąć i rozetrzeć. Dodać 3 jaja, 5 dkg stopionego masła, szczyptę soli, 10 dkg cukru, skórki cytrynowej, pół łyżeczki cynamonu oraz 5 dkg mąki i dobrze wymieszać. — Obrać i przepołowić 10 gruszek kompotowych średniej wielkości,

MÓŻDŻEK I NERKI CIELĘCE Z JAJAMI. — Nerkę cielęcą pokrajać w cienkie plasterki i dusić na maśle z posiekaną cebulą i szczyptą pieprzu angielskiego. Oczyścić móżdżek cielęcy i przysmażyć szybko na maśle. Usmażyć kilka sadzonych jaj i ułożyć wieńcem na półmisku, w środek nałożyć móżdżek, wokoło zaś plasterki nerki i przysmażone kartofelki.

KALAFJOR Z SZYNKĄ. — Ugotować kalafjor w solonej wodzie i wyłożyć na półmisek. Posiekać szynki 10 dkg i posypać nią kalafjor, na wierzch zaś nalać ½ kwaterki śmietany rozkłóconej z 1 żółtkiem i pianą z 1 białka. Zapiec w rurze.

NADZIEWANA KAPUSTA. — Ugotować całą główkę kapusty w solonej wodzie. Gdy miękka, osączyć i wydrążyć ostrożnie. Resztki pieczeni albo wędzonki zemleć i wymieszać z jajkiem, tartą bułeczką, szczyptą soli i pieprzu oraz łyżką posiekanej zielonej pietruszki i wypełnić tą masą wydrążenie. Nakryć je wyciętą kapustą, posypać tartym serem szwajcarskim i zalać śmietaną z rozbitem jajkiem. Zapiec w rurze.

PILAF TURECKI. — Do ½ l rosołu z nóżek cielęcych dodać powidełka pomidorowego 3 łyżki, soli i pieprzu i zagotować. Tymczasem opłókać ¼ l najlepszego ryżu i wsypać do wrzącego rosołu. Gotować na silnym ogniu przez 15 minut, potem odstawić na kraj płyty, żeby ryż pęczniał powoli. Nie należy mieszać, tylko potrząsać naczyniem, gdyż prawdziwy pilaf powinien być sypki i niezbity. Gdy ryż napęczniał, stopić 10 dkg masła, nalać na ryż i ostrożnie wymieszać drewnianą łyżką, następnie przykryć czystą serwetą, złożoną w czworo i postawić na 10 minut na bardzo wolny ogień. Podać z pomidorami albo z siekanem mięsem.

PILAF GOTOWANY Z MIĘSEM. — Pokrajać cebulę i zrumienić na maśle, następnie dodać kurczę, pokrajane na cząstki i zrumienić. Dolać wrzącej wody ½ l i dodać ¼ l opłókanego ryżu, dalej postąpić jak poprzednio. Zamiast kurczęcia można dać baraniny.

MAKARON Z KALAFJORAMI I MARCHEWKĄ. — Ugotować kalafjor, osobno dusić marchewkę na maśle z mlekiem, solą i cukrem i zaprawić mąką. Na odwarze z kalafjora ugotować ma-

oraz 8 gruszek drobno pokrajać i wymieszać z ciastem. Formę wyłożyć plasterkami masła, włożyć masę i piec przez 3 godziny w miernym piecu. Można również kłaść ciasto i gruszki warstwami. Dobre także ze śliwkami.

TARTELETTES Z WINOGRONAMI. — Wysłać małe foremki kruchem ciastem. Przebrać jagódki winogron i włożyć do foremek, na wierzch dać pianę z białek sztywno ubitą z cukrem, 12 dkg na 2 białka, i upiec w rurze.

MYSZY I SZCZURY zaczną już nawiedzać nasze piwnice, spiżarnie i kuchnie. Bardzo skutecznym a prostym sposobem na odstraszanie tych gryzoni jest pieprz kajeński zmielony. Posypuje się nim naczynia, podłogę, półki i wszelkie miejsca, przez które przechodzą te szkodniki.

DOBRY KIT DO SZKŁA I PORCELANY. — Rozpuścić w ogrzanym occie żelatynę i spoić płynem ogrzane brzegi naczynia. Związać mocno, aż zupełnie wyschnie. Proporcja: 1 listek żelatyny na łyżkę octu.

KORONKI I WSTAWKI SIATKOWE I KLOCKOWE będą sztywne, jeśli zwilży się je po wypraniu zimnem mlekiem. Barwa ich będzie podobna do prawdziwych koronek matowo-żółtawych.

CHCĄC USUNĄĆ POŁYSK Z MATERJAŁÓW wełnianych i jedwabnych, można posłużyć się naparem mięty kędzierzawej. Na ¼ l wody wrzącej wystarczą 2 szczypty mięty. Maczać w naparze szczotkę i szczotkować nią wyświecone miejsca, następnie lekko wytrzeć suchym płatkiem lnianym i rozpiąć szpilkami do wysuszenia.

TOWAROZNAWSTWO

Zielona renkloda dojrzewa przy końcu lipca i z początkiem sierpnia, jest okrągła, soczysta i słodka, nadaje się więcej jako deserowa niż na konfitury, które są nieco mdłe albo nawet gorzkawe.

Nieco wydłużona jest śliwka żółta z lekkim czerwonym rumieńcem, doskonała na przetwory. Podobna, tylko większa, jest ciemno-żółta, karminowo nakrapiana, o jędrnym miąższu soczystym, o smaku słodkim, przypominającym morele. Doskonała jako deserowa, na konfitury, do ciast i do kandyzowania. Dojrzewa w sierpniu.

Jedną z najlepszych jest renkloda żółta, dojrzewająca z końcem sierpnia. Bardzo słodka, soczysta i aromatyczna, nadaje się równie dobrze na stół, jak i na wszelkiego rodzaju konserwy.

Śliwki nieco owalne, duże, barwy czerwonawo-fiołkowej są bardzo smaczne, słodkie i soczyste. Dojrzewają przy końcu sierpnia. Dobre jako deserowe.

Małe mirabele są żółte, czerwonawo nakrapiane. Smak tych małych okrągłych śliwek jest aromatyczny i słodki, miąższ nie oddziela się od pestki. Dobre na marmelady i kompoty, również jako deserowe.

Istnieje jeszcze renkloda fiołkowa, dojrzewająca we wrześniu, okrągła, nieco spłaszczona. Miąższ barwy zielonej jest słodki i smaczny.

Dwa gatunki śliwek są doskonałe, gdy przewiędną; są to późne — dojrzewające z końcem września i z początkiem października — złote, podłużne, bardzo duże, czerwono nakrapiane. Bardzo smaczne i soczyste, gdy przewiędną.

Późna mirabela barwy zielonawo-żółtawej, o miąższu żółtym, soczystym, nabiera słodyczy, gdy przewiędnie.

Wszystkie rodzaje śliwek wyżej wymienionych mają miąższ soczysty, niekiedy nawet wodnisty, oraz skórkę najczęściej pozbawioną nalotu woskowego. Delikatniejsze gatunki powinno się rwać a nie strząsać, gdyż miękki miąższ łatwo się zgniata.

Bardzo ceniona jest śliwka węgierska, której istnieje kilka odmian. Prawdziwa węgierka jest średnio duża, ciemno-fiołkowa, z woskowym nalotem. Miąższ jest słodki, złoty w stanie zupełnej dojrzałości, łatwo oddziela się od pestki, czem różni się od nieprawdziwej węgierki, podobnej do niej z wyglądu, ale mniej smacznej i słodkiej. Węgierki włoskie i kanadyjskie oraz kalifornijskie są bardzo duże i słodkie. Bośniackie są nieco drobniejsze.

Śliwki suszone na słońcu wydzielają na powierzchni kryształki cukru gronowego, wskutek czego wyglądają jakby maczane w mące. Smak tych śliwek jest mimoto bardzo dobry. Śliwki suszone w suszarniach są lśniąco czarne. Susz z krajowych śliwek jest najmniej smaczny i wydatny.

Ze śliwek węgierskich przyrządzamy doskonałe powidła. Doborowe powidło jest słodkie i tak twarde i suche, że można je krajać nożem. Zbyt rzadkie jest często fałszowane.

Prunelki są to śliwki suszone bez pestek i bez skórki, Francja dostarcza ich najwięcej.

Gruszki. Rozróżniamy gruszki letnie, jesienne i zimowe, stosownie do tego, w której porze roku dojrzewają. Znamy bardzo wielką ilość gatunków. Szczególnym popytem cieszą się t. zw. bery. Słowo to pochodzi od francuskiego beurré, co oznacza miąższ soczysty i rozpływający się w ustach.

Inne gatunki mają miąższ zwarty, niekiedy twardy i ziarnisty, niektóre znowuż odznaczają się miąższem sypkim albo też „mącznym". W stanie niedojrzałym wszystkie gruszki są twarde.

Według zabarwienia rozróżniamy gruszki żółte i cytrynowe, zielone i rumiane, niektóre są czerwonawo albo rdzawo nakrapiane, inne znowuż mają szary albo bronzowawy nalot. Przed dojrzeniem wszystkie są zielone.

Najwcześniejsze gruszki, małe lub średniej wielkości są żółte, są to letnie pospolite o miąższu sypkim, psującym się od wewnątrz. Podobne są miodowe, oba gatunki dojrzewają przy końcu lipca.

Do letnich należą także bery Amaulis i Giffard, obie nakrapiane różowawo, pierwsza duża, aromatyczna, druga mniejsza o smaku i miąższu delikatniejszym.

Przy końcu sierpnia dojrzewa gruszka Williams, duża podłużna o nierównej powierzchni, barwy cytrynowej nakrapianej ciemniejszym odcieniem. Miąższ rozpływający się, aromatyczny, bardzo delikatny. Skórka cienka.

Wybór gruszek jesiennych jest bardzo duży. Doskonała jest bera d'Anjou, duża żółta albo zielona. Miąższ delikatny, słodki i rozpływający się.

Bardzo duża, zielona, czerwono nakrapiana jest duchesse d'Angoulême, miąższ nieco ziarnisty, ale smaczny i miękki.

Bergamoty jesienne i zimowe są to gruszki dość małe, kształtem przypominające cebulę, o ogonku krótkim i grubym. Skórka szorstka, zielona, czasem z szarym nalotem albo nakrapiana. Miąższ soczysty, prawie rozpływający się, słodki i smaczny.

Do zimowych należą oliwki barwy ciemno-zielonej, jasno-żółtej, albo szarej. Kształtem podobne do jabłek. Miąższ bardzo soczysty, rozpływający się, słodki.

Aż do maja można przechować dużą Catillac, dobrą na kompoty, oraz Bon-chrétien, również lepszą do gotowania jak do jedzenia.

Dziekanka zimowa trwa również do maja, jest to smaczna gruszka deserowa. Bardzo duża, zielona, z ceglastym rumieńcem.

Nie wyczerpaliśmy na tem wszystkich gatunków hodowanych u nas, bo, chcąc uwzględnić wszystkie rodzaje, opis ich zająłby zbyt dużo miejsca. Musimy zaznaczyć, że nazwy często zmieniają się w różnych okolicach; podaliśmy właściwe.

Przy zakupnie gruszek na zapas należy uważać, żeby nie były pogniecione lub też toczone przez robaki, co poznać po drobnych otworach w skórce. Kupując wprost od sadownika, dowiadujemy się najpewniej o właściwościach towaru i poznajemy prawdziwe nazwy, co ułatwia nam w przyszłości rozpoznanie także w owocarniach, albo na targu. Nie należy więc żałować trudu, ani wydatku na tego rodzaju praktyczną naukę.

Morele i brzoskwinie należą do owoców pestkowych. U nas dojrzewają w okolicach ciepłych i chronionych przed zimnemi wiatrami, jak np. w Zaleszczykach, gdzie hoduje się je w większych ilościach. Zresztą widuje się je tylko rzadko jako szpalery przy murach wystawionych na działanie południowego słońca. Produkcja zaleszczycka nie może pokryć całego zapotrzebowania, sprowadzamy więc morele i brzoskwinie z Węgier, Włoch, Francji oraz Kalifornji. Moreli istnieje dużo gatunków. U nas pojawiają się szczególnie dwa rodzaje, dość duże okrągłe i żółte, o miąższu soczystym i aromatycznym, bardzo słodkim i smacznym. Drobniejsze rumiane są również słodkie, ale mniej nadają się na wykwintne kompoty jak pierwsze. Oba gatunki oddzielają się źle od pestki. Większe, kształtu nieco podłużnego, barwy różowawo-żółtej, są bardzo soczyste i smaczne, pestka łatwo się oddziela.

Brzoskwinie rzadziej u nas widziane są najlepsze jako owoc stołowy, gdyż przetwory są nieco mdłe, a czasem nawet gorzkawe. Rozróżniamy kilka gatunków; niewszystkie mają skórkę puszystą, lecz istnieją także odmiany o skórce gładkiej, podobnej do jabłka, u nas rzadko widywane, ale częste we Francji.

Brzoskwinie zielone z rumieńcem o odcieniach różowych, fiołkowych albo karmazynowych, są okrągłe, bardzo smaczne i soczyste, o smaku kwaskowatym i aromatycznym; nazywamy je francuskiemi, ale hoduje się je również w innych krajach. Doskonała jest wczesna Hale, silnie rumiana, o miąższu nierówno za-

barwionym, soczysta i bardzo smaczna; dojrzewa już z początkiem sierpnia. La France, nieco późniejsza, żółta z rumieńcem, ma miąższ biały i różowy. Brzoskwinia morelowa, żółta z odcieniem pomarańczowym, ma miąższ słodki, rozpływający się i soczysty, barwy białej. Najpóźniejsza jest Wiktorja, nieco podłużna, żółta z ciemnym rumieńcem, o miąższu białym, wokoło pestki lekko zabarwionym.

Brzoskwinie o gładkiej skórce zwie się także nektaryny albo brugnons, hoduje się je głównie we Francji. Najsmaczniejsze są w stanie zupełnej dojrzałości, gdy skórka zaczyna nieco więdnąć.

Kupując morele i brzoskwinie należy uważać, żeby były niezbyt miękkie, niepogniecione, bez plam i innych uszkodzeń skórki. Najlepiej przechowują się owoce niepozbawione ogonków, które powinny być świeże a nie zwiędłe.

Przetwory z moreli i brzoskwiń pochodzą najczęściej z Kalifornji, ale posiadamy także wytwórnie polskie, przerabiające owoce zaleszczyckie i dostarczające wybornych kompotów i marmelad.

Suszone morele dają doskonały kompot, dostajemy je z Kalifornji, Włoch i Francji. Suszone brzoskwinie, choć tańsze, nie cieszą się takim popytem, gdyż po wysuszeniu są częściowo pozbawione aromatu, bez którego owoc traci na wartości. Sprowadzamy je z Kalifornji, gdzie oba gatunki owoców osiągają znaczne rozmiary, tak, że łatwo poznać pochodzenie suszu. Przy kupowaniu powinno się kosztować, czy owoce nie są gorzkie. Należy również zwrócić uwagę, czy nie są stoczone przez robaki.

Jabłka. Można śmiało powiedzieć, że jabłko jest najważniejszym dla nas owocem, gdyż jest stosunkowo tanie, a trwa przez rok cały, bo od jednego zbioru do drugiego. Umiejętnie dobrane i przechowane, nie ulega łatwo psuciu się i ma wysokie wartości odżywcze i dietetyczne wskutek znacznej zawartości soli mineralnych, w szczególności żelaza, garbnika, kwasu i cukru gronowego, oraz niektórych witamin. Bardzo ważna jest również znaczna zawartość pektyny, która powoduje, że sok owocowy gotowany z cukrem ścina się na galaretkę. Toteż dodaje się często soku jabłecznego do innych owoców, nie posiadających dość pektyny.

Odmiany jabłek są bardzo liczne. Zależnie od okolicy zmieniają się gatunki i nazwy, często niewłaściwe i przekręcone. Podamy tu tylko kilka odmian, pospolitych we wszystkich prawie częściach Polski.

Rozróżniamy jabłka letnie, jesienne, i zimowe, zależnie od pory dojrzewania. Prócz tego dzielimy je także na słodkie, winne i cierpkie, oraz na stołowe i kuchenne. Do najwcześniejszych należy papierówka, koloru zielonkawo-żółtego, albo zielonego z czerwonemi smugami. Miąższ delikatny, kwaskowaty, rozgotowuje się szybko; dobre jabłko stołowe i kuchenne.

Oliwka biała, kształtu owalnego, ma miąższ delikatny, smaczny, dość słodki. Dobre jabłko stołowe. Również wczesna oliwka czerwona w szare plamki ma biały miąższ delikatny i kruchy, kwaskowaty. Dobra jest również czerwona.

Astrachanka, kulista, dołem spłaszczona, barwy zielonkawo-żółtej, czerwono nakrapiana. Z jesiennych dobre są Kalwile, których istnieje kilka gatunków, szczególnie jako jabłka kuchenne, wyjąwszy kalwilę białą, która dojrzewa od grudnia do marca i jest doskonałem jabłkiem stołowem o miąższu delikatnym, słodkawym i bardzo aromatycznym. Skórka delikatna biała, lekko zaróżowiona. Czerwone kalwile nazywają w niektórych okolicach buraczkami. Bardzo duże jest jabłko:

Kaiser. Aleksander. Miąższ kruchy, rzadki, kwaskowaty, aromatyczny. Skórka zielonawo-żółta z rumieńcem. Dobre jako stołowe i kuchenne.

Grawsztynki, częste w byłym zaborze pruskim; dobre jabłko stołowe, formy stożkowatej, nieco wypukłej, o żeberkowatych wyniosłościach. Skórka jasno-żółta, czerwono zabarwiona. Miąższ delikatny, soczysty i bardzo aromatyczny. Miły smak słodkawy i aromatyczny mają kosztele, które przechowują się dobrze. Ważną rolę odgrywają renety jako jabłka trwałe i odporne. Istnieje dużo odmian.

Szara jesienna ma na zielonem tle nalot bronzowawo-czerwonawy. Smak słodkawy, miąższ średnio soczysty, dość delikatny.

Reneta Baumana jest duża; skórka gładka, zielonawa, później żółta. Miąższ biało-żółtawy, aromatyczny, soczysty, kwaskowaty. Doskonała Królowa renet jest cytrynowo-żółta, gładka z rumieńcem. Miąższ soczysty, bardzo delikatny, dość ścisły i bardzo smaczny.

Złota reneta, średniej wielkości, okrągła, żółta jakby złocona, posiada miąższ zwarty, soczysty, bardzo smaczny.

Reneta zielona o skórce chropawej z szaremi smugami; miąższ żółtawy słodki, dość soczysty, bardzo aromatyczny.

Reneta szara zimowa nadaje się bardziej jako kuchenna niż jako stołowa.

Pepiny podłużne, jasno-żółte z różowem, mają miąższ delikatny, aromatyczny, słodkawy. Dobre jabłko stołowe.

Parmeny odznaczają się miąższem białym, delikatnym w smaku; szyszka mała. — Znane sa także:

sztetyny czerwone i zielone, jako jabłka stołowe, smaczne

i dość trwałe. Jako kuchenne zimowe znamy zieleniaki, zielone albo z rumieńcem, i żeleźniaki, zielone z rumieńcem albo czerwonemi smugami. Miąższ twardy, winny, zielony bez zapachu.

Jakkolwiek produkcja jabłek w kraju jest bardzo znaczna, sprowadzamy jeszcze jabłka tyrolskie, bardzo dekoratywne, dzięki błyszczącej, pięknie zabarwionej skórce i regularnej formie, amerykańskie i australijskie, te ostatnie szczególnie na wiosnę, kiedy zapasy krajowe są na wyczerpaniu.

Wyborowe jabłka krajowe i zagraniczne przesyła się w skrzynkach; mniej wartościowe gatunki w koszach i beczkach. Jabłka przeznaczone na przesłanie i przechowanie muszą być rwane a nie strząsane. Te ostatnie nadają się tylko do natychmiastowego użytku w jadalni i w kuchni.

Kupując jabłka na zapas, stwierdzamy, czy nie są pogniecione, plamiste, albo podziurawione przez robaki. Również szkodliwe są narośle. Niektóre gatunki psują się od wewnątrz, nie okazując na zewnątrz żadnego śladu zepsucia, trzeba więc dla pewności przekroić dla próby.

Jabłka suszone dostajemy w handlu w krążkach, rzadziej w ćwiartkach nieobranych. Najlepsze są suszone kalifornijskie, gdyż zachowują jasne zabarwienie, ale zachodzi obawa, że są sztucznie bielone sposobem chemicznym, szkodliwym dla zdrowia. Krajowy susz jest najczęściej brunatny, co jednak nie zmienia smaku, a daje gwarancję, że nie zawiera szkodliwych substancyj chemicznych.

Konserwy z jabłek spotyka się dość rzadko, ponieważ można przez cały rok sporządzać kompoty ze świeżych jabłek. Najczęściej znajdujemy je w mieszanych kompotach i jako marmeladę oraz galaretkę.

(C. d. n.)

DAWNIEJ A DZIŚ

Do nieuniknionych wypadków w życiu codziennem należą drobne skaleczenia, które zdarzają się często każdemu z nas, nawet najostrożniejszemu. Pod tym względem niewiele zmieniło się na świecie, tak było dawniej, tak jest i dziś.

Zmienił się jednak sposób zaopatrywania takich drobnych skaleczeń.

Dawniej po obmyciu rany owijano ją jakimkolwiek płatkiem płóciennym lub też opaską opatrunkową, która w wysokiej mierze krępowała swobodę ruchów a czasem uniemożliwiała zawodową pracę. Tak zaopatrzona rana poczynała często ropieć i trzeba było długiego czasu do zupełnego wygojenia jej.

Tak było dawniej — a jak jest dziś?

Dziś wystarczy mieć przy sobie „Hanzaplast", doraźny opatrunek leukoplastowy, aby zaopatrzyć ranę prawidłowo i antyseptycznie. Hanzaplast zastępuje niewygodne, a często i niepraktyczne opatrunki z opasek muślinowych — jest znacznie tańszy i ma tę ważną zaletę, że nawet w zgięciach trzyma się nadzwyczaj mocno, nie zesuwa się i nie krępuje przytem zupełnie swobody ruchów. Gaza żółtego koloru znajdująca się wzdłuż przylepca nasycona jest środkiem dezynfekcyjnym i gojącym. Dziurki, znajdujące się w przylepcu, umożliwiają dopływ powietrza do rany, przez co gojenie jej znacznie się przyśpiesza. Już za drobną kwotę kilkunastu groszy można nabyć Hanzaplast w każdej aptece i drogerji w różnych opakowaniach. Opatrunek Hanzaplast zaoszczędza dużo kłopotu i czasu, a każdy z nas wie, że czas — to pieniądz.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

ZBIOROWA ODPOWIEDŹ. — Krakowskie Koło Stowarzyszenia „Służba obywatelska" podejmuje wydawnictwo Życiorysów zasłużonych kobiet, przeznaczone dla młodzieży szkolnej, a także dla bibljotek społecznych, dla kółek samokształcenia i kółek pracy obywatelskiej przy stowarzyszeniach kobiecych. Następujące życiorysy wyjdą już w jesieni b. r.:

1. Dr Józefa Jotejko, w opracowaniu Jadwigi Petrażyckiej-Tomickiej.
2. Barbara Żulińska, w oprac. Heleny Witkowskiej na podstawie wspomnień i dokumentów rodzinnych.
3. Jane Addams, w oprac. Wandy Krzyżanowskiej.
4. Emma Pieczyńska, w oprac. H. Witkowskiej.

Dalszy ciąg wydawnictwa w przygotowaniu. W związku z niem „Służba obywatelska" zamierza zebrać wydane dotąd u nas życiorysy kobiece i zestawić z nich specjalną bibljoteczkę dla użytku szkół żeńskich i stowarzyszeń kobiecych. Krakowskie koło „Służby obywatelskiej" gromadzi materjały do życiorysów zasłużonych kobiet i udziela wyjaśnień w sprawie bibljoteczek. Adres: Kraków, aleja Słowackiego 23, Helena Witkowska.

WĄTŁA. — Zakład oparty o przyrodolecznicze podstawy naukowe z uwzględnieniem elektroterapji, helioterapji, termoterapji założony został przez Oskara Wojnowskiego i dra Z. Koellnera w Zakopanem. Otwarty cały rok. O bliższe szczegóły zechce Pani zwrócić się wprost do zakładu, ew. poprosić o prospekt.

ZIEMIANKA. — Wymogom, które Pani wymienia w liście, odpowie w zupełności firma E. Riedl, Lwów, Rutowskiego 3. Posiada na składzie najprzedniejsze gatunki kawy, herbaty, kakao dla dzieci, oraz wielki wybór w markach wina. Jeśli Pani szuka oryginalnej japońskiej porcelany, znajdzie ją Pani u Riedla we wzorach i odmianach przedziwnej piękności, a w cenie więcej niż umiarkowanej.

PRAKTYCZNA. — Prasowanie żelazkami gazowemi nie jest tak praktyczne jak elektrycznem, gdyż stale trzeba ogrzewać 2 żelazka naprzemian. Jednakowoż do większego prasowania jest odpowiedniejsze, bo: 1) oszczędniejsze, 2) żelazka są cięższe.

Natomiast do mniejszego prasowania lepsze żelazko elektryczne, gdyż można je przenosić od kontaktu do kontaktu, gdy instalacja do żelazka gazowego nie da się przenosić. Żelazko elektryczne zużywa na godzinę 0,400 — 0,450 kilowatów, prasowanie gazem jest tańsze, ale zużycie zależy od umiejętnego regulowania płomienia, na co służące zazwyczaj nie zwracają uwagi.

Bardzo praktyczne jest żelazko z automatycznym regulatorem temperatury, jest jednak dość drogie. Żelazka elektryczne psują się przy nieostrożnem obchodzeniu się z niemi, były także niejednokrotnie przyczyną uszkodzenia ciała a nawet porażenia. Żelazka gazowe nie wymagają naprawek, wystarczy chronić je przed rdzą.

P. ZOFJA R. — Aksamit jest bardzo modny, a z rozmaitych jego odmian największym popytem cieszy się w obecnym sezonie na płaszcze impregnowany gatunek w grube prążki. Żakiety aksamitne w odrębnym kolorze, suknie popołudniowe i wieczorowe widuje się często z aksamitu. Jeżeli jednak sprawia Pani tylko jeden płaszcz lub jedną suknię, praktyczniej będzie wybrać inny materjał.

CZ. A. — Adresy autorów pisujących pod pseudonimem podajemy wyłącznie za ich pozwoleniem. W sprawie Pani napiszemy z zapytaniem.

PEDANTERJA. — Musimy przyznać słuszność mężowi Pani. Prowadzenie rachunków domowych jest niezbędne dla kontroli budżetu i orjentowania się w tem, czy nie wydajemy ponad stan. Niechęć Pani do tak nieskomplikowanej czynności jest naprawdę nieuzasadniona, o czem się Pani przekona po pierwszym miesiącu próby. Czasem nawet mężowie mają słuszność.

STAŁA ABONENTKA. — W Warszawie wychodzi dwutygodnik „Ziemianka Polska", jako organ zrzeszeń ziemianek wszystkich ziem polskich. Adres: Marszałkowska 149, Biuro Ziemianek. Radzimy napisać do Redakcji z prośbą o przysłanie numerów okazowych, po przeczytaniu których będzie Pani mogła zorjentować się w kierunkach i zadaniach czasopisma.

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska**

Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — **Odp. red.:** Wł. Słowik. — **Adres Redakcji i Administr.:** Lwów, Chorążczyzna 27; Warszawa, Wilcza 3

Telefon administracji: 4-32 Drukarnia Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Tel. 85-16 **Telefon redakcji:** 48-34



MAGAZYN NUT B. POŁONIECKIEGO

WE LWOWIE, UL. KLEMYNTYNY TAŃSKIEJ

POLECA OSTATNIE PRZEBOJE NA SEZON 1931/32

Amore Canta, Melodja E. Tagliaferri z filmu dźwięk. „Śpiewające miasto“	3,60 zł
Angola, Tango M. Julskiego	2,50 „
Biały Motyl, Tango E. Szalita	2,— „
Baśń tęczowa, Tango St. Łukasiewicza	1,— „
Co słychać w eleganckim świecie?, Fox-trott Schlechtera	2,50 „
Czereśnie, Slow-fox J. Petersburskiego	2,50 „
Czy pani w bridge'a gra? Slow-fox Z. Karasińskiego	2,50 „
Dla Ciebie, Tango M. Julskiego	2,50 „
Dla twego szczęścia Madame, Tango Z. Wiehlera	2,50 „
Dziewczę me wspomnij noc, Tango E. Szalita	2,50 „
Fatme, Tango M. Eryana	2,50 „
Grenadiermarsch z filmu dźw. „Parada miłości“	4,30 „
I nic więcej, Walc z filmu dźw. „Niebieski motyl“	2,50 „
Ja panu powróżę, Fox-trot H. Hossona	2,50 „
Ja wiem, Tango M. Eryana	2,50 „
Jeśli miłość trwa, Tango O. Olginy	2,— „
Już się prześnił sen, Tango W. Dana	2,50 „
Każdej damie do twarzy jest w pyjamie, Slow-fox Golda	2,50 „
Kiedy przymykam oczy, Tango H. Warsa	2,50 „
Kwiat jabłoni, Slow-fox H. Warsa	2,50 „
Mały pokoik, Tango W. Krupińskiego	2,50 „
Melodja miłości, Slow-fox A. Golda	2,50 „
Miłość Cię zgubiła, Tango F. Gordon	2,50 „
Nasz stary c.k. polny marszałek, Marsz E. Brożik	3,60 „
Niebieski Walc, Z. Wiehlera	2,50 „
Nie żal tych łez, Tango A. Lewandowski	2,50 „
Pani się ubiera, Fox-trot J. Haftmana	2,50 „
Jutro zapomnę (Pedro), Tango F. Gordon	2,50 zł
Pieśń pasterza, Walc z filmu dźwięk.. „Porucznik Armand“	2,50 „
Pod samowarem, Fox-trot F. Gordon	2,50 „
Przebacz, Tango J. Petersburskiego	2,50 „
Signora, Walc z filmu dźw. „Śpiewające miasto“	4,30 „
Słoneczniki, Wiedeński walc H. Warsa	2,50 „
Szkarłatna wiosna, Tango Z. Białostockiego	2,50 „
Jesieni zew, Tango M. Weigt'a	2,50 „
To jest Paryż, Tango J. Petersburskiego	2,50 „
Tyś mnie nie kochała, Tango A. Golda	2,50 „
Twe usta gorące, Tango H. Golda	2,50 „
Twój uśmiech, Boston A. Golda	2,50 „
Wiktorja i jej huzar: Dobranoc, Walc	4,30 „
Pardon Madame, Walc	4,30 „
Poutpouri	7,20 „
W masce, Tango M. Eryana	2,50 „
W tańcu zapomnę, Tango St. Łukasiewicza	2,50 „
Wiem że cię kocham, Boston (Z filmu dźwiękowego „Dziesięciu z Pawiaka”)	2,— „
Gdybyś chciał wrócić, Walc (Z filmu dźwiękowego „Dziesięciu z Pawiaka”)	2,— „
Romans Olgi i Polka (Z filmu dźwiękowego „Dziesięciu z Pawiaka”)	2,— „
Jeszcze raz, Walc Z. Białostockiego	2,— „
Miłości przyszedł kres, Boston F. Gordona	2,— „
Gib mir Gelegenheit / Liebling vertrau' mir / Die Fahrt ins Land der Liebe (Z filmu dźwięk. „Monte Carlo" komplet)	6,— „
Najpierw wódeczka, Tango J. Wiga	2,50 „
Princessa, Tango J. Kagana	2,50 „
Skończona pieśń, R. Stolza Boston-Walc	2,50 „
Za tyle pięknych dni, Tango A. Lewandowskiego	2,50 „



Ona: Przekonuję się, że wszystkie moje przyjaciółki miały rację polecając mi zawsze używanie niepospolitego kremu „Kwiat Snieżny". — Od czasu używania tego kremu, przekonałam się, że inne kremy nie dorównują kremowi „Kwiat Snieżny", który cudownie działa na upiększenie cery. 1191

A. PREVENDAR

LWÓW, UL. CZARNIECKIEGO 2

Telefon 32-83

z a w i a d a m i a

o sprowadzeniu do swego Instytutu Kosmetycznego masażystki z Berlina, wykwalifikowanej w pielęgnowaniu urody

Masaże ręczne twarzy, szyi i specjalnie oczu. Masaże systemem „Elisabeth Arden"

Pneumatyczne masaże całego ciała

Oddział kosmetyczno-parafinowy pod nadzorem lekarza

Osobny oddział artyst.-fryzjerski do ondulowania wodnego, trwałego i farbowania Henną na wszelkie odcienie

Ceny konkurencyjnie niskie!

1162

Herbata Riedla

Lwów, ul. Rutowskiego l. 3

Każda gospodyni usmaży znakomite konfitury, soki, marmelady i jamy podług nieocenionej książki

Z. KULCZYCKIEJ

NAJWIĘKSZY ZBIÓR PRZEPISÓW

SMAŻENIA KONFITUR, SOKÓW, MARMELAD I INNYCH PRZETWORÓW OWOCOWYCH

Ta piękna ilustrowana książka obejmuje następującą treść:

Ogólne wskazówki. Konfitury. Jamy. Galarety. Marmelady. Powidła. Serki czyli pasty owocowe. Suche konfitury i kandyzy. Soki owocowe z cukrem. Soki i marmelady surowe oraz sorbety. Galaretki surowe. Sorbety pomadkowe. Miodki owocowe. Sterylizowanie kompotów, soków i marmelad. Kompoty. Soki sterylizowane. Kompoty bez cukru, owoce we własnym soku. Miazgi bez cukru. Konserwowanie miazg. Soki bez cukru surowe. Owoce w occie i cukrze. Owoce mieszane w occie z cukrem. Suszenie owoców. Przechowywanie — — — — — świeżych owoców — — — — —

Wymienione powyżej przepisy są do naszych potrzeb zastosowane, wypróbowane (zarówno wedle starych jak i najnowszych metod). Zwracamy uwagę na przepisy przyrządzania przetworów owocowych bez cukru

CENA W OPRAWIE ZŁOTYCH 6·—

KSIĘGARNIA POLSKA B. POŁONIECKIEGO

LWÓW, AKADEMICKA 2 A — WARSZAWA, WILCZA 3

CUDOWNE LOKI



Nieograniczenie trwałe przy wilgotnem powietrzu i pocie, osiągną Panowie i Panie bez rurek zapomocą Hela, esencją ziół do włosów. Również najpiękniejsze krótkie włosy u Pań będą upiększone przez Hela, ponieważ ondulacja jest zbyteczna. Duże zaoszczędzenie czasu i pieniędzy. Działa na porost włosów. Pański obraz w lustrze zachwyci Was. Zaraz po myciu wspaniałe fale ondulowanych loków, powabna fryzura. Dużo listów z podziękowaniem. Przedewszystkiem artystki sceniczne są pełne zachwytu

Cena zł. 2·—, 3 flaszki zł. 4·50, 6 flaszek zł. 7·—

Dr. NIC. KEMENY, Cieszyn

skrzynka pocztowa 1055 — POLSKA 1283

Ukazało się nowe wydanie

SŁYNNEJ UNIWERSALNEJ

KSIĄŻKI KUCHARSKIEJ

MARJI OCHOROWICZ-MONATOWEJ

Jest to 112 tysiąc tej niezrównanej książki



WEŁNĘ ANGIELSKĄ

ŚWIATOWEJ SŁAWY FIRMY

PATONS & BALDWINS Ltd. HALIFAX

1275 DO ROBÓT RĘCZNYCH POLECA

H. LEIDNER I Ska KRAKÓW, STRADOM 6 Tel. 128-25

(obok kościoła Misjonarzy)

PRÓBKI NA ŻĄDANIE WYSYŁA BEZPŁATNIE

DEKORACJE WNĘTRZ

TAPETY — FIRANKI — KLUBY

SALONY — MATERJE MEBLOWE

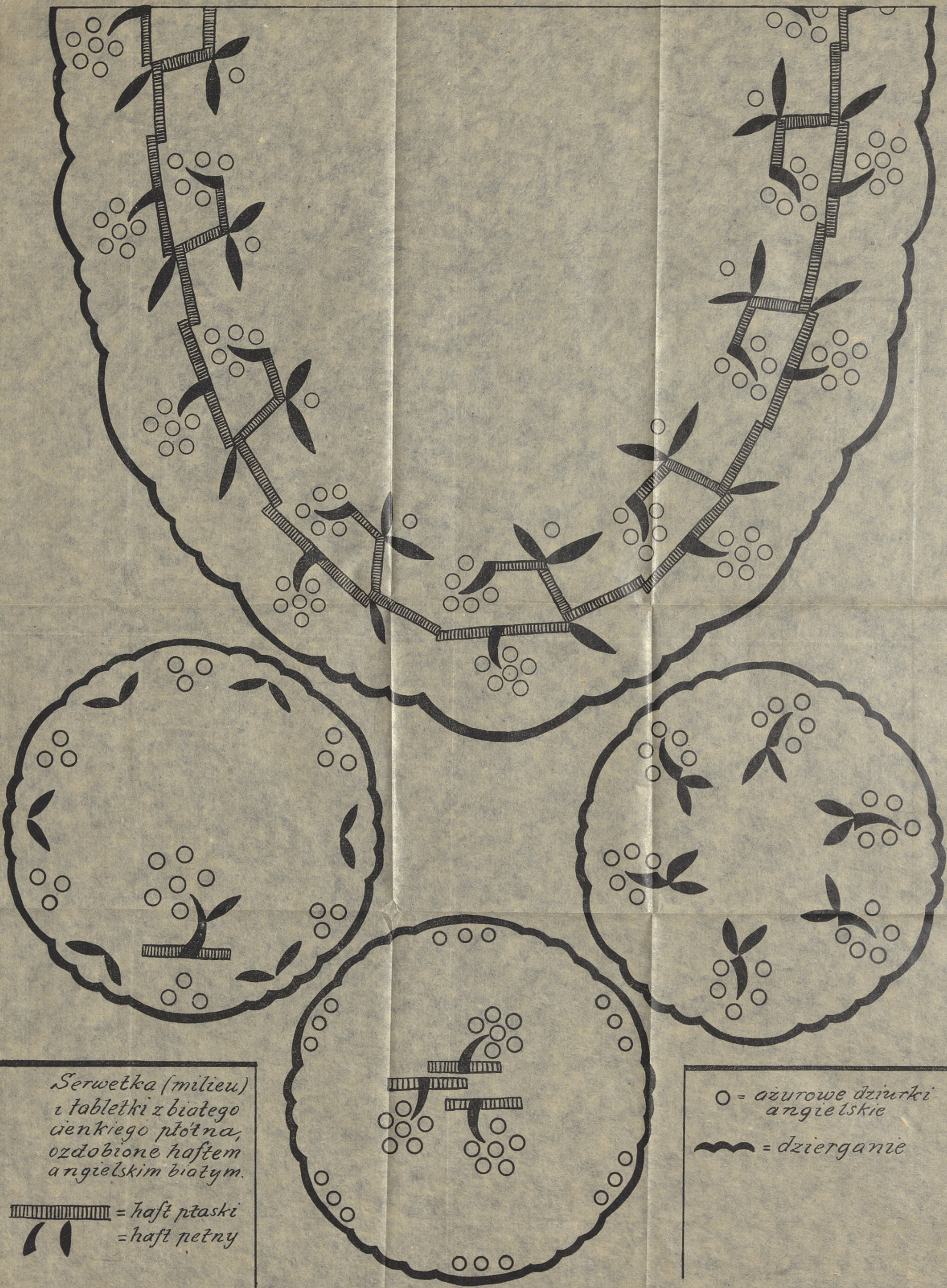
T. KYSIAK i Synowie Lwów

Sklep pl. Smolki l. 4 — Tel. 40-09

Zakłady Kościuszki 20 — Tel. 19-85

1168

Dodatek do „Świata Kobiecego" Nr. 20 – rok 1931.



Serwetka (milieu) i tabletki z białego cienkiego płótna, ozdobione haftem angielskim białym.

= haft płaski

= haft pełny

○ = ażurowe dziurki angielskie

= dzierganie


cienkiego płótna,
ozdobione haftem
angielskim białym
= haft płaski
= haft pełny
= ażurowe dziurki angielskie
= dziergane